TYGODNIK KATOLICKI.

№ 27. Grodzisk, 8 lipca 1870. № 27.

Tygodnik katolicki wychodzi co tydzień w Piątek. Cena prenumeraty 1 tal. 20 sgr. ćwierćrocznie. Listy z zagranicy adresować należy do Poznania (Posen, Grand Duché de Posen). Redakcyja odbiera tylko frankowane korespondencyje. Rękopisy zwracają się tylko na wyraźne poprzednie żądania. Po użyciu ulegają niezwłocznie zniszczeniu.

Papież rozjemca Rządów i poddanych.

Czytelnicy pamiętają, jak różni uczeni i literaci, którzy mieli szczęście od lat mniéj więcéj trzydziestu oddać niejednę usługę Kościołowi, udali nagle zadziwionych, a może w istocie byli nimi, gdy zwołano Sobór bez ich zezwolenia. A gdy później Ojcowie chrześciaństwa, zebrani u stóp Piotrowéj Stolicy, poczęli radzić o potrzebach Kościoła, nie zasięgając ich rady, zdziwienie ich zamieniło się w gniew, a duma obrażona wybuchła wielkim płomieniem. Uważając siebie i przyjaciół swoich za niezbędne, jeżeli nie za najsilniejsze filary Kościoła, woleliby, aby gmach cały runął, jeżeli nie ma i nadal na nich się opierać. Zawrzali więc chórem wielkim, złowrogim.

Znalazłszy w Niemczech i Francyi licznych sprzymierzeńców, rozpoczęli wielką agitacyą, zrazu piórem biskupa *Maret'a*, późniéj broszurami biskupa z *Orleanu*, nareszcie jadowitemi pamfletami księdza Gratry. W Niemczech i w Austryi także nie zaspali sprawy. Dwugłowy *Janus-Doellinger* powołał wiernych swoich do broni, a niektórzy członkowie episkopatu, już to skrycie, już na jawie dolewali oliwy do pożaru.

Poruszywszy wszystkie sprężyny przebiegłości i podstępu, nie wzgardziwszy fałszem nawet, bo pycha przed niczém się nie cofa, gdy pobici na wszystkich punktach, zewsząd ściśnieni zostali silną, nieubłaganą logiką obrońców Kościoła, pochwycili za broń ostatnią, którą zawsze walczą sprawy przegrane — uderzyli w interes ludów i rządów. Zaczęli wmawiać w Rządy, że odtąd pozostaną zupełnie na łasce rzymskiego dworu, w ludy, że utracą wolność i swobody, owoc wieloletniego postępu, w biskupów, że wyzują się z apostolskiéj swojéj władzy i zamienią w skromnych proboszczów jednéj wielkiéj rzymskiéj dyecezyi.

Oto smutna historya *nieoportunistów*. Ich zabiegi nie były nadaremne, bo znalazły odgłos wymowny w depeszy francuzkiego ministra hr. *Daru*. Tam wszystkie insynuacye owéj partyi ułożyły się w jeden obraz jaskrawy, rażący. Potrafiono tak dobrać kolorów, tak rozłożyć cienie, że nie jedno oko niewprawne zmyliło się na razie, a nie jeden małoduszny syn Kościoła ulakł się na dobre straszliwych knowań Soboru i gotujących się zamachów na wolność ludów.

Wszystko to już należy do przeszłości. Odpowiedź kardynała *Antonelli,* podana przez nas przed niedawnym czasem, rozwiała wszystkie te kłamstwa. Nie mniéj ścisła w wyrażeniach, jak otwarta w zdaniach, odbija w sposób tak uderzający od stylu dyplomatycznego innych dworów, które nieraz dwuznacznością swoją i zgrabnością wybiegów przypominają osławione twierdzenie owego prototypu dzisiejszych dyplomatów, jakoby słowa na to były, żeby ukrywać myśli.

Że po téj odpowiedzi, załatwiającéj wszystkie trudności, wracamy raz jeszcze do *nieoportunistów,* powodem najnowszy ich protest, albo raczéj *postulat,* wniesiony przez kilkunastu biskupów na Sobór, a ogłoszony w dziennikach niemieckich. Choć nie podano podpisów, łatwo się jednak można domyśleć autorów. Dzisiaj *postulat* ten ma tylko wartość historyczną i prawdopodobnie nie byłby powstał, gdyby autorom jego była znana ostatnia depesza kardynała sekretarza stanu. Że jednak myśli niektóre w nim zawarte i u nas niestety odzywają się uporczywie, sądziliśmy, że nie od rzeczy będzie, poświęcić mu kilka uwag doraźnych.

Autorowie *postulatu* obrali sobie za punkt wyjścia bullę Bonifacego VIII. *Unam sanctam,* w któréj, tak twierdzą, papieztwo przywłaszcza sobie wszelką władzę nad królami, dochodzącą nawet aż do składania ich z tronu, w razie nieposłuszeństwa i uwolnienia poddanych od przysięgi wierności. Otóż, mówią, *postulanci,* podobne uroszczenia nie raziły nikogo, były nawet potrzebne do pewnego stopnia. Ale dzisiaj wszystko się zmieniło, a Kościół stanął w zupełnie innym stósunku do władzy świeckiéj. Dzisiaj biskupi, przynajmniéj niezmierna ich większość uczy publicznie, że władza świecka i duchowna, jakkolwiek nie są sobie równe, boć i dobra wieczne doskonalsze są od dóbr doczesnych, przecież każda z nich w dziedzinie przez Boga jéj wyznaczonéj, *doskonalszą* jest od drugiéj, a zatem zupełnie od niéj niezależna. Prawda, że książe świecki, będąc synem Kościoła, musi podlegać nakształt innych wiernych władzy duchownéj, a ta nawet karać go może, na mocy boskiego swego urzędowania. Z drugiéj jednak strony książe, mając berło może od Boga, zupełnie jest niezależnym w zakresie swojéj władzy i żadnym sposobem Kościół nie może go pozbawić tronu, lub jakąkolwiek zrobić ujmę jego królewskiéj godności. Jeżeli w średnich wiekach, prawo międzynarodowe na coś podobnego zezwalało, to dzisiaj po zupełnéj zmianie tegoż prawa ustał i przywiléj papiezki sądzenia panujących. Takie zresztą, wedle zdania *postulantów,* było i przekonanie samegoż Kościoła aż do Grzegorza VII., a jeżeli, od jego rządów począwszy, przewaga papieży nad królami rosła bezustannie, aż w słynnéj bulli Bonifacego VIII. doszła do swojéj własnéj apoteozy, to dzisiaj, przy zupełnie zmienionych stósunkach trudno powrócić do przeszłości, trudno wprowadzić bullę ową w życie,

nie chcąc Kościoła narazić na szwank niebezpieczny, a społeczeństwa na największe nieszczęścia. Kończą więc autorowie *postulatu* żądaniem, aby Sobór, zanim przystąpi ostatecznie do saméj kwestyi nieomylności papiezkiéj, oznaczył naprzód jasno wzajemny stósunek władzy świeckiéj do duchownéj, a mianowicie rozstrzygnął raz na zawsze niepokojące i pełne niebezpieczeństw pytanie, czy Chrystus Pan rzeczywiście dał św. Piotrowi i następcom jego ową władzę nad królami i królestwami tego świata, któréj się domaga Bonifacy VIII.

Oto treść cała dokumentu, mającego na celu odroczenie dyskusyi nad dogmatem nieomylności. Nowy to wybieg wymyślony przez tych, którzy uporczywie w innych i w siebie wmawiają, że dogmat ten nie jest na czasie, nie odpowiada wymaganiom stulecia. Ale wybieg to wcale nie fortunny, nie przynoszący wcale zaszczytu jego autorom. A dzisiaj po ogłoszeniu odpowiedzi Kardynała Sekretarza Stanu, doprawdy, smutne on robi wrażenie. Ani jeden z argumentów w nim zawartych nie może się ostać przed krytyką. Wystarcza, żeby odpowiedź kardynała położono obok *postulatu*, a rozwionie się on w nicość zupełną, w lekki dymek nieosobliwych sofizmów.

Odwołują się na historyą, na bullę Bonifacego VIII. Jak gdyby ta zawierała coś nowego, coś niesłychanego przedtém! Tak mniemają: A przecież Bonifacy papież to jedno tylko powiedział, że jak wszyscy wierni, tak i naczelnicy ludów podlegają Stolicy św. *propter peccatum* dla grzechu. Innemi słowy, że kwestye sumienia i sprawiedliwości, rozstrzygają się w ostatniéj instancyi, jedynie przed Piotrowym nieomylnym trybunałem. Że żaden syn Kościoła, czy król, czy pastuszek nie jest wyjęty z pod juryzdykcyi tego trybunału, któreż dziecko o tém nie wie? lub czyż kiedykolwiek w Kościele, od założenia jego aż do naszych czasów, uczono co innego? Ale mówią, Bonifacy VIII. chciał przywłaszczyć sobie i polityczną reprezentacyą nad królami. Temu doprawdy nikt nie uwierzy, kto choć pobieżnie zna dzieje. Bo ani Bonifacy nie wywołał zatargów z Filipem Pięknym, ani w czémkolwiek wtrącał się do jego rządów świeckich. Dopiero gdy król francuzki samowolnie zaczął ścieśniać prawa Kościoła, zabierać jego majętności, nastawać na wolność biskupów — wtedy dopiero Bonifacy stanął w obronie pokrzywdzonéj władzy duchownéj. W całym tym nieszczęsnym sporze nie chodziło o uzyskanie politycznéj przewagi nad *Francyą* na rzecz rzymskiéj Stolicy, lecz o obronę niezależności Kościoła przeciw napadom ambitnego z wszelkich więzów moralności wyzutego monarchy.

Przeciwnicy nieomylności odpowiadają, że papieże nieraz składali panujących z tronu, a przez to zagrażali bezustannie niezależności władzy świeckiéj. Potrzeba więc, aby kwestyą tę wyjaśniono raz na zawsze, i aby Kościół uroczyście wyrzekł, czy nieomylność papiezka rozciąga się także do sądzenia królów. Na ten zarzut pełen podstępu, choć umajony pozorną troskliwością o dobro Kościoła i niby to chęcią serdeczną ostrzeżenia go od niebezpiecznych zawikłań, właściwie, nie warto już odpowiadać po depeszy kardynała. Każdy zresztą dobry katolik z łatwością znajdzie odpowiedź jasną, niewątpliwą. A Kościół nie taił się nigdy z odpowiedzią swoją.

Wszelka władza od Boga pochodzi, świecka czy duchowna. Obie władze różne od siebie są, ale nie samopas chodzą. Bo w dziełach Bożych wszędzie jedność panuje, nie masz tam rozdwojenia, cechującego sprawy ludzkie. Skoro społeczeństwo jeden tylko ma cel, współczucia z Bogiem, widoczna, że obie władze do tegoż celu zmierzają. Ale ponieważ jedna w wyższym, druga w niższym stopniu do niego prowadzi, przeto jedna górować będzie, uzupełniać, uświęcać drugą. Władza świecka bezpośrednio dla celów doczesnych ustanowiona, a zatém pośrednio tylko wiodąca poddanych swoich do Boga, podlegać musi w właściwym zakresie władzy duchownéj, która bezpośrednio do tegoż celu zmierza. Niezależny w załatwianiu interesów doczesnych rząd świecki stawa u kresu władzy swojéj, ile razy stawa w obec interesów sumienia, w obec zagadnień najwyższéj sprawiedliwości — tam jego ręce mdleją, jego głos bez znaczenia przebrzmiewa. Tam zaczyna się władza Kościoła i rozstrzyga głos jego najwyższego pasterza.

Że głos tego najwyższego sędziego na ziemi, następcy Piotrowego, także praktyczne mieć musi następstwa, także doczesne wywoływać zmiany, któż się temu zadziwi. Przeć Kościół nie w obłokach wisi, lecz opiera się na twardéj opoce rzeczywistości. To też wyroki będą mieć zawsze doniosłość w czasie, a jeżeli skrzyżują się z wyrokami władzy świeckiéj, tém dla niéj gorzéj. Przystępujemy do najdrażliwszego punktu, do osądzenia książąt. I ta kwestya dla dobrych katolików nie ma żadnéj zawiłości, żadnéj złowrogiéj groźby na przyszłość.

Bo powtarzam raz jeszcze, Kościół nie przebywa w obłokach, lecz wśród ludzi. Jeżeli więc w państwie katolickiém wyrok Kościoła pociągnie za sobą doczesne jakieś następstwa, to wszystkie syny Kościoła chętnie im się poddadzą. Wszak od dzieciństwa nauczyli się, że w sprawach sumienia tylko głos Kościoła rozstrzyga, a jeżeli interes sumienia nie da się pogodzić z jakimś upatrzonym interesem, to bez namysłu poświęca zawsze doczesność dla wieczności. Tak zawsze bywało w Kościele, a wierni zawsze tak czynili. Taka jest podstawa katolickiego społeczeństwa, taka jego racya bytu. Ile więc razy władza świecka zagraża téj racyi bytu, cóż dziwnego, że społeczeństwo katolickie przed zagrażającą śmiercią ucieka się do Kościoła, do jedynéj swojéj przystani. N. p. monarcha przestaje być katolikiem. Cóż wtedy pocznie naród katolicki? Odpowiedź prosta, i dziwimy się, że są katolicy, którzy się z nią wahają wystąpić. Przeć król rządzi nad ludem na mocy wzajemnéj ugody, przez Kościół uświęconéj; tak w średnich wiekach bywało, a i dzisiaj, nie jest inaczéj. Nie szukają wprawdzie już uświęcenia przez Kościół, ale i dzisiaj, jak dawniéj, monarcha panuje na mocy ugody: Cóż więc dziwnego, że ile razy jedna strona łamie ugodę, druga staje się wolną od wszelkich zobowiązań. Jasno to jak słońce.

Naród katolicki chce, aby prawo jego Kościoła było i jego prawem państwowem. Pod tym warunkiem ofiaruje książęciu koronę — ten przyjmując ją, przyjmuje zarazem wszystkie warunki ugody. Gdy zaś książe zapomina o warunkach ugody, na mocy któréj panuje, odstępując np. religii swego ludu, rozdziera tém samém owe *pacta conventa;* utraca prawo do tro-

nu. Głowa Kościoła wyłącza go ze społeczeństwa wiernych i zdaje mi się, że najzaciętsi nieprzyjaciele papieża nie zaprzeczyli mu dotąd tego prawa. Ale przez to Papież oświadcza uroczyście, że panujący złamał konstytucyą, że nie posiada więcéj odpowiednich warunków, których naród katolicki domaga się po swoim panującym, że zerwał ugodę, która go na tron wyniosła, a zatem i drugi kontrahent, tj: naród, wolny jest od wszelkich zobowiązań, od wszelkiego posłuszeństwa. A tak owe ekskomuniki Rzymu, tak okrzyczane przez nieprzyjaciół Kościoła, tak potwornie przekręcane przez ateuszów i demagogów, są w zasadzie najlegalniejszym aktem naczelnika Kościoła, czuwającego nad czystością społeczności od Boga mu powierzonéj, a w następstwie *najprawniejszem* wykonaniem politycznéj konstytucyi, na któréj opiera się gmach spółeczny katolickich ludów. I zaiste, gdy rozpatrzymy się w ekskomunikach, wyrzeczonych przeciw monarchom, to nie masz ani jednéj, któraby nie została spowodowaną lub przez herezyą, lub przez zbrodnie i krzyczącą niesprawiedliwość panującego, a ile razy papieże, czy sami, czy wspólnie z Soborem jakim składali książąt z tronu, uwalniając poddanych od przysięgi wierności, zawsze konstytucya kraju przyznawała im to prawo.

Prawo to było dobrodziejstwem dla ludów i królów: ubezpieczało ludy od nadużyć władzy monarszéj, od despotyzmu, a królów od gwałtownych zaburzeń, od spisków, od śmierci z ręki kata. Puszczano w niepamięć to prawo, ale na nieszczęście ludów, na zgubę monarchów.

Zresztą, któżby twierdził, że papieże, jako naczelnicy Kościoła, na mocy prawa nadanego im od Boga, a przyznanego przez katolicką konstytucyą chrześciańskiéj spółeczności, składali panujących, jak króle składają swoich urzędników, lub że rozdawali korony na kształt publicznych dostojeństw? Czyż kiedy się zdarzyło coś podobnego? I tu wypada zwrócić uwagę czytelników, na istotną różnicę w postępowaniu rzymskiéj Stolicy względem krajów, których książęta lub z prawa historycznego byli lennikami papiezkiemi, lub zagrożeni wielkiem jakiem niebezpieczeństwem z własnéj inicyatywy, składali berła swoje u Grobu św. Piotra, aby je potém z rąk Ojca św. odebrać tytułem lennictwa. Względem nich prawo polityczne owych czasów nadawało papieżom tę samą władzę, którą ma król względem swoich wasalów: taki był stósunek niemieckiego imperyum i wielu pomniejszych królów i książąt do Rzymu. Przeciw innym panującym nie wyrzekali nigdy papieże detronizacyi, tylko wykluczenie z wspólności wiernych, do czego, jako naczelnicy Kościoła, mieli i prawo zupełne i obowiązek sumienia. Ale nawet w tych krajach, nad któremi papieże mieli prawo lennodawcze, rozdział władz istniał zawsze i skrupulatnie był strzeżony, przynajmniéj ze strony Kościoła; władza świecka rządziła niezależnie w swojéj dziedzinie, a nic jéj nie zagrażało, dopóki nie gwałciła konstytucyi zaprzysiężonéj. Co więcéj, unia z Kościołem i podporządkowanie się pod tyarę papiezką w kwestyach moralnych dodawały monarchom potęgi, jakiéj dzisiaj nadaremnie wyglądają po plebiscytach i milionowych armiach.

Dzisiaj konstytucya polityczna chrześciaństwa zupełnie została zmienioną: jest to wielkie nieszczęście, ponieważ jedność wiary była wielkiém błogosławieństwem przyjaciół jedności. Ale Kościół silniéj niż kiedykolwiek przypomina wszystkim swoje prawo, upatrując w tém jedyną rękojmią lepszéj doli dla wszystkich, a chociaż ani ludy ani rządy nie chcą się już poddawać wyrokom Kościoła, on nie mniéj obstaje przy swojém prawie. Bezustannie stawia przed oczy obłąkanéj spółeczności ideał doskonałości, a choć każdy zatyka sobie uszy przed prawdą, Kościół czeka cierpliwie, dopóki bolesne chłosty bieżących wypadków nie nawrócą nareszcie obłąkanych do prawdy. Tym większy zaś mają obowiązek Biskupi przyspieszyć to nawrócenie, a nie odraczać go przez niewczesne protesty. *Postulat*, ostatni z tych protestów, doprawdy nie odpowiada potrzebom społeczeństwa, bo wchodzi w układy z błędem i fałszem.

Ale niech wierni nie lekają się tych protestów, przebrzmiało ich tyle, a ten ostatni pójdzie tam gdzie dawniejsze, w zapomnienie. Prawda przebije jak słońce przez obłoki, które fałsz ludzki przeciw niéj nagromadza, i niebawem rozświeci smutną noc naszych stósunków społecznych. Im więcéj Sobór napotka przeszkód do zwalczania, tém większą stąd będą mieli wierni rękojmią, że dostojne zebranie Ojców Kościoła nie pominęło żadnego zarzutu, żadnéj zawiłości, i rozebrało wszystkie głęboko, wszechstronnie, z namysłem niezwyczajnym.

KORESPONDENCYE.

X) **Rzym** *30 czerwca.*

Nie ukończą się rozprawy nad schematem o nieomylności tak rychło, jak oczekiwano; coraz bowiem więcéj mówców przybywa. Z nich niektórzy, jak kardynał arcybiskup boloński Guidi, dominikanin, niespodzianki czynią, przeciw oczekiwaniu wszystkich, oświadczając się pośredniczo pomiędzy dwiema stronami przeciwnymi sobie w kwestyi nieomylności. Za to inni znów z obozu *nieoportunistów* przechodzą do większości, i tak arcybiskup koloński, a podobno i trewirski. Znany zaszczytnie biskup moguncki Ketteler jawnie wypowiedział, że nigdy nie wątpił o nieomylności papieża; że tylko o wczesności jéj orzeczenia dogmatycznego wątpił, i przeciw niemu walczył; ale że dziś, widząc, jak wielu samąż nieomylność naruszają nietylko Papieża, lecz w ogóle Kościoła, i cały hierarchiczny porządek przewrócić usiłują, poczyna wątpieć, czy w miejsce niewczesności nie weszła konieczność orzeczenia dogmatycznego. Episkopat portugalski także przeciwny orzeczeniu dogmatycznemu nieomylności, przeszedł już do obozu większości. Gdy biskup orleański żądał ich podpisów pod protestacyą przeciw zamknięciu dyskusyi jeneralnéj nad schematem o Kościele, oświadczyli mu, żeby na nich już nie liczył, bo tylko za niewczesne uważali orzeczenie dogmatyczne nieomylności, lecz o saméjże nauki téj prawdzie nie wątpili nigdy, owszém uczyli jéj zawsze; dziś więc, gdy kwestya wczesności, opportunitatis rozstrzygnięta przez Papieża wniesieniem schematu pod obrady Soboru, nic ich już nie łączy z mniejszością.

Pomiędzy przeciwnikami dogmatycznego orzeczenia nieomylności najwięcéj takich, co tylko przeciw saméjże wczesności jego uprzedzeni; lecz nie wszyscy,

podobnie jak biskupi portugalscy, są konsekwentni; nie wszyscy widzą, że podstawa, na której stali, już im się z pod stóp usunęła.

Samże naczelnik opozyci, biskup orleański w pismach swych, nawet niedawno wydanych, oświadczył się w myśl dzisiejszéj większości soborowéj: więc, gdy już usunięta kwestya wczesności, nie powinno by być powodu rozdwojenia. Jest ono jednak. Dla czego? Oto zdaje się, że głównym powodem ku temu jest obawa, żeby biskupi nie zeszli na wikaryuszów papieży, na biskupów, jak nazywają honorowych. Próżna ta obawa: bo biskupi i z ustanowienia Chrystusowego i z tytułu urzędu swego i ze sposobu sprawowania biskupiego urzędu, będą zawsze mieli władzę własną, potestatem ordinariam, nigdy nie przestaną wraz z papieżem przedstawiać całego Kościoła katolickiego.

Nie mogąc powstrzymać roztrząsania kwestyi nieomylności, chciałaby mniejszość powstrzymać przynajmniéj jéj orzeczenie, stawiając twierdzenie, że do orzeczeń domatycznych potrzeba jednomyślności Ojców Soboru. Zdanie to, niemające żadnéj podstawy ni prawnéj, ni historycznéj, ni rozumnéj, (boć już nie możnaby potępić żadnéj herezyi), odparte wielekroć zwycięzko, wywłóczy jednak bez ustanku opozycya, żeby choć rzecz całą w zawieszeniu utrzymać i przewlec.

Co gorsza, dają się słyszeć głosy pojedyńcze, że jeżeli téj zasady, iż koniecznie potrzebna jednomyślność Ojców w uchwałach dogmatycznych, nie przyjmuje większość, tedy mniejszość zaprotestuje, że Sobór nie jest wolny, więc i nie ekumeniczny. Dziwaczne to twierdzenia! Jeżeli się większość nie da sterroryzować mniejszości, tedy ta mniejszość będzie pokrzywdzona w swéj wolności. A czyż to do przywilejów téj mniejszości należy, żeby terroryzować kogoś, a nawet większość. Takby się zdawać mogło. Czyż rozsądnie pojętéj swobody i wolności nie mają aż do zbytku, że mogą mówić, ile i co im się podoba, w słowach nieraz bardzo twardych dla większości? Widocznie wmówiła w siebie mniejszość, że tak znaczna ich liczba nie może się mylić; więc się myli większość i myli się papież; więc mniejszość ma obowiązek opierania się, żeby większość błędu nie narzuciła Kościołowi?

Gdzie tu podziała się wiara w nieomylność Kościoła, rządzonego Duchem św., Kościoła zbudowanego na Piotrze, a więc którego szukać trzeba w biskupach stojących przy Piotrze i z Piotrem, przy Papieżu i z Papieżem? Co więcéj, samaż gallikańska zasada, że Papież jest nieomylny, gdy się z nim zgodzi episkopat, w kąt tu zarzucona; boć ogromna większość zgadza się z Papieżem, który, jak jego poprzednicy, wyznaje nieomylność Stolicy Apostolskiéj, i oświadczył tę wiarę swą jawnie w bulli o Niepokalaném Poczęciu Najś. Panny. Przeciez niepododna, żeby ta mniejszość sądziła, iż Papież powinien mieć wszystkich za sobą: bo tego nigdy nie było i pewnie nie będzie.

U Słowian zasada jednomyślności górowała. W politycznych obradach Lutyków potrzeba było takiéj jednomyślności: ale żeby ją pozyskać, oponentowi nie żałowano kijów. W Polsce *liberum veto* nie znalazło tak radykalnego na siebie lekarstwa, jak u barbarzyńskich pobratymców; to téż sprowadziło upadek kraju.

Zastósować toż *liberum veto* do Kościoła, czyżby się i on zdołał ostać w obec najazdów szatana heretyckich, schizmatyckich? Oby przynajmniéj u nas w Polsce, pouczonéj smutnym doświadczeniem znaczenia *liberum veto,* zaprzestano tych uniesień i zapałów i podziwu dla mniejszości soborowéj, stojącéj na gruncie śliskim, na stoku ku fatalnéj przepaści, zaprzepaszczenia Kościoła, Chrystusa, wiary, Boga — wszystkiego.

Biedni biskupi z opozycyi muszą ciągle bronić się od insynuacyi, jakie im wielbiąca ich partya liberałów podsuwa bez ustanku. Biskup *Strossmayer* do dziennika katolickiego *Tablet* przesłał protestacyą przeciw kłamstwu *Times'a*, że biskup diokowarski jest gotów połączyć się ze schizmą, byle przez to sprowadzić zjednoczenie Słowian południowych. Wskazuje na całą działalność swego życia, że ona kłam zadaje temu twierdzeniu; owszem, dążeniem jego jest, żeby wszyscy Słowianie połączyli się w jednym Kościele katolickim.

We Włoszech krzątają się usilnie, żeby jak najświetniej urządzić uroczystość 25 letniego panowania Ojca św., lat Piotrowych na Stolicy. Wypadek ten jedyny w dziejach, cały świat chrześciański wita już dziś z otuchą, radością i jakby z przeczuciem zwycięztwa Kościoła.

Sądzę, że można mieć niepłonną nadzieję, iż naród polski nie da się innym wyprzedzić w gotowości poniesienia gorących życzeń i darów, na jakie nas stać, dla Ojca św., tyle nas miłującego, jedynego naszego obrońcy przed ludźmi, bezustanuego pośrednika przed Bogiem. Ze wszystkich narodów mają przybyć deputacye w strojach narodowych. Przepyszna to będzie manifestacya Polski żywéj przez żywą wiarę, gdy reprezentanci wszystkich stanów, księży, szlachty, mieszczan i kmieci ze wszystkich dzielnic, z których będzie podobno, staną w cieniu opoki Piotrowéj, u grobu Apostołów, żeby przynieść hołd katolickiéj Polski Ojcu powszechnemu Kościoła.

Na 25 letni jubileusz kapłaństwa zaledwie na drobne zdobyli się spółczucie u nas w kraju. Tłomaczyli się niewiadomością, jak urządzić podobną manifestacyą. Otóż, żeby i tą razą nieruchawość i nieświadomość nie sprowadziły na nas słusznych zarzutów, podaję w czas program, jaki katolicka bolońska młodzież, przodująca w ruchu katolickim we Włoszech, postawiła od siebie, z prośbą, żeby katolickie stowarzyszenia zagraniczne od siebie podały swe programata, żeby i we Włoszech je można zużytkować. Nie wątpię, że gorliwi katolicy, tak w Wielkopolsce jak w Prusiech i w Krakowskiem na Rusi Czerwonéj wezmą się rączo do dzieła, utworzą komitety i urządzą całą manifestacyą na prawdziwie katolicką, godną narodu naszego i tradycyi przeszłości naszéj:

Otóż program:

1. Wszystkich katolików wzywa się, żeby Boga, Najwyższego Pana życia i śmierci, prosić w gorących i pokornych modłach o zachowanie dni panującego Papieża Piusa IX.; a mianowicie, żeby od dnia 17go czerwca r. b. do dnia 21go czerwa 1871, codzień odmawiać modlitwę kościelną: *Oremus* pro *Pontifice nostro Pio:* Dominus conservet eum, et vivificet eum et

beatum faciat eum in terra et non tradat eum in animam inimicorum ejus.

2. Poleca się nadzwyczajne powszechne zbieranie świętopietrza, które się wręczy Ojcu św. w dzień on szczęśliwy.

3. Żarliwość wiernych katolików wszystkich krajów, miast, parafii, nie omieszka utworzyć komisyi dla zbierania płodów natury, tworów przemysłu i sztuki, kosztowności i t. p., które, przesłane w podarunku Ojcu św., mają być publicznie wystawione, w dowód powszechnéj miłości i czci dla Stolicy św. Przedmioty wystawione będą potym wylosowane na rzecz świętopietrza.

4. Ażeby święto 21go czerwca 1871 r. obchodzić jak najświętniéj, przyczym nie będzie braknąć wszelakich dowodów miłości ludów ku Namiestnikowi Chrystusowemu, a Następcy św. Piotra, życzyćby sobie należało: żeby liczni reprezentanci katolickich narodów, gmin, katolickich stowarzyszeń, instytutów, uniwersytetów i akademii, zakonów rycerskich i t. p. przybyli do Rzymu, ażeby we wspaniałym pochodzie z muzyką, z chorągwiami, w narodowym stroju i t. d. udać się do Watykanu i Ojcu św., który przez lat 25 zasiada na Stolicy Piotrowéj, w imieniu katolickiego świata złożyć hołd wiary i miłości.

5. Koła i korespondujących członków związku katolickiego młodzieży we Włoszech uprasza się, żeby żarliwie i usilnie działali, gwoli urzeczywistnienia tego programu; żeby komisye potworzyli dla zbierania przedmiotów i świętopietrza. Także wszystkie włoskie i zagraniczne katolickie stowarzyszenia czasopisma codzienne i peryodyczne uprasza się o poparcie i spółdziałanie, żeby uświetnić tę uroczystość, którą świat katolicki gotuje Piusowi IX., Nauczycielowi i Ojcu swemu. Katolickie stowarzyszenia zagraniczne uprasza się, żeby swych osobnych programów udzielić nam raczyły; żebyśmy i my z nich korzystać mogli i żeby spolne przedsięwzięcie tym świetniéj się udało.

(Można przesłać program w ojczystym swym języku).

Bologna 28 marca 1870.

Dr. *Jan Aequaderni*,
prezes Centralnéj Rady Stowarzyszenia katolickiéj młodzieży.
Alfons Rubiani, sekretarz.

Nie wątpię, że w *Tygodniku* powéźmiecie inicyatywę, i prosić jeszcze będziecie dzienniki polskie o powtórzenie tego programu na przyszłą uroczystość Ojca świętego.

W Hiszpanii gotuje się przeobrażenie. Dziwna, jak Karliści, z którymi tu w Rzymie spotkać się można, pewni zwycięztwa swéj sprawy. Jeden z nich roztaczał mi czarowne obrazy przemian w całéj Europie, które sprowadzić mają tryumf Kościołowi i utrwalić społeczny porządek i pokój wrócić narodom, mianowicie téż naszemu. Jakże szlachetnie dumnym wydał mi się ten Hiszpan ze swą sprawą, po katolicku pojętą, widzący lepsze losy świata katolickiego. Piękne to marzenia i sny urocze. A może i nie sny!

Gazety hiszpańskie, karlistowskie jak n. p. *Esperanza* przemawiają tak śmiało, obwołują Don Karlosa królem, powiedziałbym tak zuchwale, mimo terroryzmu rządu rewolucyjnego, że już na pewno rokować można rychłą akcyą Karlistów. Wszystko duchowieństwo i katolicy stanowczy z wyższych klas, lud wszystek jest za Don Karlosem; bo on jeden ma prawo niezaprzeczone do tronu z pominięciem Izabelli, która, jako i matka jéj Krystyna, z pogwałceniem prawa salickiego, wyłączającego kobiety od tronu, na mocy testamentu nieprawomocnego Ferdynanda, zajmowała tron hiszpański. Cała trudność, kto pozyska sobie wojsko, a wyraźniéj mówiąc, kto kupi sobie generałów wojska. Zdaje się, że i co do tego, już pewni siebie Karliści.

(X) **Rzym** *30. czerwca.*

(O wystawie.)

(Dokończenie.)

Pozostaje nam z nagrodzonych *Oskar Sosnowski.* Wystawił on statuę Anioła Zmartwychwstania w większéj nad wielkość naturalną; płaskorzeźbę przedstawiającą Matkę Bozką z dzieciątkiem, grupę z marmuru nadnaturalnéj wielkości, Matkę Bozką z dzieciątkiem; w podobnież większéj nad wielkość naturalną Pieta czyli Matkę Bozką bolesną z P. Jezusem na łonie, i św. Piotra na wyjściu z wystawy umieszczonego. Wszystkie bez wyjątku utwory dłóta Sosnowskiego, odznaczają się uczuciem religijném i szlachetnością formy. Twarz, czy to Matki Bozkiéj, czy dzieciątka Jezus, czy Anioła Zmartwychwstania, są rzeczywiście piękne; postacie, czy siedzącéj Matki Bozkiéj, czy stojącego dzieciątka, lub Anioła, czy św. Piotra, pełne powagi, spokoju. Razić może pewne powtarzanie się motywów, jak np. to, że dzieciątko zawsze błogosławi; jednak to łacno wytłómaczyć tym, że artysta chce przedstawić bozkie dzieciątko zawsze nam błogosławiące, nie jakieś, jak w rafaelowskich obrazach, igrające z Mateczką swoją. I to pominąć można, że twarz Matki Bozkiéj prawie wszędzie ten sam typ nosi; boć lepiéj, że artysta, stworzywszy sobie idealny typ, powtarza go, aniżeli żeby się silić miał na rozmaitość i wpadał w pospolitość. Ale to już niezawodna wada, że postacie te jakoby naprężone, trochę po żołniersku. Tak mianowicie Anioł Zmartwychwstania; tak téż Matka Bozka bolesna. Artysta bardzo pięknie pojął tę chwilę złożenia P. Jezusa na łonie Matki Najśw. Ciało martwe P. Jezusa, ale giętkie słania się na łono Matki Najśw. Głową oparty o pierś matczyną, jednym ramieniem przechylony na jéj łonie, tak że jedna ręka spada wolnym ruchem, gdy reszta ciała złożona nieruchomie na ziemi; całe to ułożenie umęczonego P. Jezusa pięknie pomyślane i wykonane. Matka Bozka mimo ciężkiéj swéj boleści, siedząca z powagą i godnością, podtrzymująca jedną ręką ciało syna swego, drugą wspierająca obumarłą głowę, z oczyma wzniesionymi w górę: jest utworem fantazyi i bardzo artystycznym i religijnym. Widzi się tu prawdziwie Matkę Boga człowieka, co tę hostyę zabitą za grzechy świata zanosi Ojcu przedwiecznemu; na synaczka swego głowie położyła rękę ofiarniczą, wzrokiem błagalnym śle ofiarę w niebo. Ale i tu wrażenie psuje nie mało ta naprężona postawa Najśw. Matki.

O prostotę aż może nadto wielką w draperyi nie będę winił artysty; bo to raczéj właściwość szkoły. Zresztą niewątpliwie lepszą przyskąpa i przyciężka draperya, aniżeli to silenie się na wyrobienie muślinów, jak np. w Benzoniego Rebece. Prawda bowiem w przedstawieniu artystycznem bynajmniéj nie zależy na tém, żeby wyrzeźbić podobiznę odzienia; lecz żeby w całéj postaci jak najdoskonaléj uwydatnić myśl, ideę, a tak stworzyć ideał. Jak postać ta będzie przyodziana, rzecz to nader podrzędna; chyba sposób, jak odzienie leży na osobie, może mieć znaczenie, dając wnioskować o charakterze, nieraz o moralnéj wartości osoby. Starożytni, dbający o powagę, drapowali się, i draperyą odziewali swe posągi: ale nigdy im przez myśl nie przeszło, by w dziełach sztuki dawać podobizny cienkości materyi, w które się ubierali.

Zarzut ważniejszy uczynię, że ta prostota zbytecznie rozciąga się aż do wyrzeźbienia ciała. Rysunek artysty zawsze szlachetny; ale wykonanie nie ma dość delikatności, miękkości dłóta. Formy ciała uwydatniają się w szlachetnych ogólnych zarysach; ale w szczegółach artysta nie dba o anatomiczną dokładność rzeźby. A tu możnaby, sądzę, porzucić tę trochę twardą prostotę; bo ciało dziełem bożym jest, warto je artyście lepić tak doskonałym, jak wyszło z pod palcy najpierwszego artysty, samego Boga Stwórcy.

Ciało to rozmaicie kształtować się może, odpowiednio do przedmiotu sztuki, stósownie do pomysłu, ideału artysty; wszelako zawsze powinno być jak najprawdziwszym ciałem. Inaczéj sztuka spadnie do rodzaju prostéj symboliki, jakichś hieroglifów; przestanie być sztuką, tj. wcieleniem piękna myśli we formy ciała, stwarzaniem ideałów. Zarzucimy artyście, że jego tak śliczne Madony mają trochę pospolite, za grube palce; całe ciało umęczonego P. Jezusa za mało ma w szczegółach anatomicznéj doskonałości; może tu jednak winą jest téż i niewykończenie ostateczne téj pięknéj grupy.

Mimo usterek i wad niejakich, utwory dłóta naszego rodaka odznaczają się zaszczytnie w rzędzie nagromadzonych na wystawie prac rzeźbiarzy, siłą ducha, szlachetnością pomysłu, którego brak wielu dziełom obdarzonym wyższą nagrodą. Doświadczenie, że doskonałość formy przenoszą ludzie nad myśl wyższą, niech mu się stanie bodźcem do dążenia do jak najwyższéj doskonałości formy dla pomysłów swych i ideałów chrześciańskich, żeby w przyszłości nawet ci, co wolą formę niż myśl, ciało niż ducha, podziwiając u niego formę jak można najdoskonalszą, nauczyli się w niéj doczytywać ducha, co w niéj gości i ją wypełnia, przenika, uduchownia.

Po znanym w całéj Polsce p. Oskarze Sosnowskim, wspomnę o artyście rodaku bez rozgłosu, który rzecz drobnych rozmiarów dał na wystawę, ale tak miluchną pomysłem, że śmiało można mu rokować przyszłość. Jest to p. *Ludwik Kucharzewski*, artysta za granicą bawiący, żyje jednak sercem wśród swoich, pomysły swe czerpie z tła rodzinnego. Przedstawił w modelu założyciela ochrony w Warszawie, Baudouina. Apostoł miłosierdzia na ramieniu niesie dziecinę, tulącą się doń, jak do matki — wszak dzieci przeczuwają dobroć serca dla siebie; ręka jego jedna skromnie wyciągnięta, wydać, że żebrze dla biednych sierot, a jednak nie chce być natrętnym; na twarzy rzewna prośba pełna ufności; u stóp jego przycupnął chłopczyna nagi, zapewne dla wymóg rzeźbiarstwa, na które nie koniecznie się godzę, zagłębiony w książce. Ułożenie tego chłopczyny skromne i naturalne; a co najwięcéj ujmuje, to ono pochwycenie typu dobrego dziecka, zajętego nauką, które zapomina o reszcie świata, a zapomina na prawdę, nie myśli udaniem zajęcia kokietować kogoś. Ta naturalność mile uprzedza i ujmuje. Szkoda, że nasz artysta nic nie dał wykonanego w marmurze. Z modelu tego, wnosić można pochlebnie o darze kompozycyi, że artysta umie z prawdą i szlachetną prostotą pojąć i wyrazić myśl głębszą, religijną. Spodziewać się należy, że mieszkając w stolicy sztuki, gdy tyle wzorów wielkich ma przed sobą, przyswoi sobie i doskonałe wykonanie techniczne, i przyczyni kiedyś chluby narodowi swemu.

Wspomnienia godni jeszcze mianowicie: *Costoli* z Florencyi, zwłaszcza za prześliczny biust Anioła, z klasycznie pięknym wyrazem twarzy; *Bastiniani* także z Florencyi, który dał płaskorzeźbę, przedstawiającą Bogarodzicę z dzieciątkiem, a który tak doskonale naśladuje *Donatella*, że przekupnie jego prace strożytnikom często sprzedają za towar tego artysty. Kiedy raz Bastiniani zapozwał przed sąd takiego niesumiennego przekupnia, komisya i sąd oświadczył się za przekupniem, artystę wzięto za waryata, który w obłędzie umysłowym przyznaje się do dzieł wsławionego mistrza z przeszłości. W *Guarcino* samouczek, wyrostek szesnastoletni Lilvio Milani wyrzeźbił w drzewie Ukrzyżowanego. Dobrze, że w tak młodym wieku dał się poznać; bo zwykle ci, co mają potrzebę na wyrobach swych pisać: „jako rzeźby nieuczony“, lepiéjby nie imali się dłuta. Na wyjściu z tego korytarza klasztornego, nie podobna niezatrzymać się choć na chwilę przed św. Alojzym Gonzagą *Taglioni*'ego *Alfonsa*. Artysta widać miał żywy model przed sobą, ale bardzo szczęśliwie wybrany; bo w téj prawie jeszcze dziecięcéj twarzy tyle jest niewinności i świętości, może nie tyle wypracowanéj męzkim trudem i spółdziałaniem z łaską, ile wlanéj od Boga w proste dziewicze serce. Może jednak nie koniecznie ta dziecięcość odpowiednia dla św. Alojzego, przynajmniéj na typowe przedstawienie świętego, który umarł nie takiem pacholęciem. Staranne wydzierzganie rzymskiéj komży, kunsztownie we fałdki koronkowe ułożonéj, nie miłe: bo w naturze komeżka taka zdaje się czémś nie wytwornem, lecz wyćwiernem; cóż dopiéro w sztuce, w marmurze!

Z starożytnych rzeźb mało wystawiono: w korytarzu *Bambino*, tj. dzieciątko Jezus spoczywające przez Bernini'ego, półbiust z gipsu przedstawiający Chrystusa umarłego, ze szkoły Michała Anioła, w salonie, gdzie *akademia św. Łukasza* wystawiła swe prace, biust Piusa VI., dłuta *Canovy*: otóż i wszystko.

Akademia francuzka nie ma genialnych mistrzów, którzyby zdumiewali twórczością, lub na nowe tory prowadzili sztukę: ale tego nikt jéj odmówić nie może, że przechowuje tradycye lepszych czasów. Dwaj przed wszystkimi się oznaczają, zmarły *Tenerani* i następca jego w przeróżnych urzędach, mających na na celu opiekę nad pomnikami sztuki, *Jacometti. Piotr*

Tenerani, wedle powszechnego zdania, książe dzisiejszych rzeźbiarzy, odznacza się tym klasycyzmem formy, który po wielu czasach odnowił, odświeżył *Canova* i *Thorwaldsen*. Było kilka jego dzieł znaczniejszych wystawionych w modelach. Tak płaskorzeźby dwie, przedstawiające *Miłosierdzie*; inna przedstawiająca Anioła Stróża; inna scenę męczeńską z Chataubriand'a; głowa z gipsu, przedstawiająca Zbawiciela; olbrzymia statua przedstawiająca św. Alfonsa Liguorego, a która już wyrzeźbiona w marmurze ma być umieszczona w Watykanie dla dopełnienia liczby św. założycieli zakonów; model Anioła Zmartwychwstania, który wykuł na pomnik dla księżnéj Laute, w *Santa Maria sopra Minerwa*; nareszcie płaskorzeźba wielka przedstawiająca Złożenie z Krzyża.

Ten Anioł Zmartwychwstania jest piękną kreacyą. Jakże stósownie na grobie ten posłaniec boży zasiadł! Jak tylko wstanie i zatrąbi na pobudkę, zmarła zrzuci wieko trumny, wstanie zmartwych na sąd. Oblicze Anioła piękne opływa włos bogaty, na łonie trzyma trąbę, na któréj głos „się wszyscy stawią", i księgę, „z któréj dekret na wszystkich sprawią". Co o Teneranim powiedziano, że prawdzi się w jego figurach Dantowe *visible partare dei volti*, że każda postać u niego charakterystyczna i sama o sobie mówi, zwłaszcza obliczem, to może najsłuszniéj da się powiedzieć o jego *Złożeniu z krzyża*. Kompozycya tu prosta a szlachetna. Józef z Arymatei zstępuje z drabiny opartéj o krzyż; dźwigając ciało P. Jezusa na prześcieradle złożone, jedną ręką obejmując lędźwie, drugą pierś Jezusową; na jego męzkiéj twarzy spółczucie, boleść, ale i hart duszy pokonujący cierpienie duszy. Św. Jan objął nogi Jezusowe: widać boleje za siebie i za tę, którą mu Mistrz polecił za Matkę. A ta Matka Najśw. podtrzymuje też delikatną dłonią Synaczka ciało. Coś prześlicznego to ugrupowanie Matki bozkiéj i Pana Jezusa. Ciało P. Jezusa podtrzymywane z wysiłkiem przez Józefa z Arymatei, lekko skłania się na ramię Najśw. Matki. Jedno ramię Pana Jezusa wsparte na ramieniu Najśw. Matki spada wolno na jéj barki; może na znak, że ciężko ją ręka pańska dotknęła śmiercią syna; drugie ramię spoczywa na ciele, dłoń na ramieniu Józefa, — może na znak podziękowania Jezusowego. Głowa Pana Jezusa zwrócona ku twarzy Matki Najśw. Ta obejmuje drogie ciało obu rękoma: jedną ręką podtrzymując bok prawie się dotyka szerokiéj rany, która przebodła go na wskroś. W twarzy Pana Jezusa choć śmiertelnéj zastygł dziwny spokój, jako po dokonaném dziele miłości; w obliczu N. Panny boleść matczyna z rezygnacyą świętą zlały się w jeden wyraz cichego, błogiego cierpienia. Nad tą całą sceną w głębi rozciąga krzyż zbawcze swe ramiona.

Z tą kompozycyą może się chyba Achtermannowe *Pietà* porównać i co do głębokości uczucia, i doskonałości zewnętrznego wyrazu. Mniejszych rozmiarów i znaczenia, ale bardzo też piękna jest scena męczeńska Teneraniego. Inny akt z téjże sceny, którą obrał sobie Hektor Ferrari, przedstawił Tenerani: Ferrari Eudora broniącego swéj oblubienicy; Tenerani tegoż Eudora z oblubienicą skazanego na pożarcie od lwów. I ta płaskorzeźba odznacza się klasyczną prostotą: niewiasta z wzrokiem wlepionym w niebo, opiera się na mężu. Ten na piersiach wypisaną ma winę, dla któréj umiera: Eudonus Christianus, stróż więzienia z wielkim wysiłkiem odmyka wrzeciądze: lwica z rykiem w poskoku wypada na ofiary.

Jacometti dał na wystawę grupę: *Ecce Homo*, *Pietà* cz. Pana Jezusa na łonie Matki bolesnéj, Matkę bolesną, kopią sławnéj swéj rzeźby; Pocałunek Judasza. Wsławił się szeroko Jacometti tą grupą, przedstawiającą zdrajcę Judasza, który pocałowaniem wydał Syna człowieczego. Figura ta umieszczona przy wstępie do *Scala santa* schodów, po których umęczony P. Jezus wstępował przed trybunał Piłata. Naprzeciw niéj stoi tegoż artysty dłuta druga rzeźba, przedstawiająca Piłata, który ukazuje ludowi ubiczowanego Jezusa, i chce go do litości pobudzić wołając: Ecce Homo, Oto człowiek.

Piłat charakterystyczną ma twarz, przez pół prawnika, przez pół filozofa. Z głowy postrącała mu włosy nie wiedzieć czy kłopotliwa myśl filozofów, która doszła do zwątpienia o jakiéj bądź prawdzie, co w obec Prawdy wcielonéj skeptyczny Piłat wypowiedział z lekceważeniem; w twarzy, na czole maluje się troska pomięszana z dumą; co wydatnieje w zaciśniętych drobnych wargach; litości tam nie ma, bo Rzymianin — prawnik jéj nie dopuszczał do serca; była raczéj troska, bojaźń zabobonna, tak zwykła u niedowiarków, podrywana snami żony; była duma wzburzona tym upokorzeniem, że u *plebsu*, którym gardził, musi żebrać uwolnienia człowieka niewinnego, z obawy przed Cezarem, którym może także w głębi duszy gardzi. Chrystusa pokorna postać, pełna rezygnacyi na śmierć krzyżową z wyroku ludu wściekłego, tchnie istotnie pobożnym uczuciem.

Druga grupa, przedstawiająca *Pocałunek Judasza*, może jeszcze większéj wartości artystycznéj. Judasz przysunął się do P. Jezusa, który zna głąb przewrotnéj jego duszy i dla tego, choć gotów na mękę, jednak zgrozą się przejmuje jego dusza na tę złość ucznia, który pocałunkiem wydaje mistrza swego. Ta odraza w pełném zresztą dobroci i spokoju obliczu i całéj postawie P. Jezusa uwydatnia się ruchem ręki, pełnym oburzenia, i układem głowy Zbawiciela, którą wspinający się ku obliczu pańskiemu zły uczeń, poufale, brutalnie, dłonią sobie przyciąga, żeby wydętą, chciwą pocałowania wargą, dotknąć policzka pańskiego. Sądzę, że najwyższą pochwałą jest dla artysty, jeżeli ten, kto dzieło jego ogląda, powiedzieć sobie zniewolon, tak jedynie mogła ta scena się przedstawić. A to zdanie nasuwa się widzowi uważnemu przy oglądaniu téj wspaniałéj grupy.

Z reszty profesorów, pomiędzy którymi niektórzy malarze także dali wyroby dłóta, jak znany Podesti Franciszek, Gagliardi Piotr, wspomnę choć pokrótce jeszcze prof. *Emila Wolfa* grupę, Józefa z Putyfara żoną, *Wincentego Luccardi'ego* epizod z potopu, i *Rinaldo Rinaldego* grupę przedstawiającą ewangeliczną pannę mądrą i głupią; wszystkie z gipsu. Wolfa grupa jest dowodem, że i takie przedmioty ślizkie, można przyzwoicie przedstawić, nie tak, jak to zwykle czynią artyści i słowem i pędzlem i dłótem, którzy miasto odstręczyć od występku, pociągają doń w

całym uładnym blaskiem, uzmysławiając pokusę. Tu żona Putyfara chwyciła kraj sukni Józefa jedną ręką, drugą bawi się jego bujnymi kędziorami; z twarzą ku niemu zwróconą, pełną żaru złéj miłości, ale nie zwierzęco bezwstydną, lecz osłoniętą pewną układnością, uśmiechem, przymileniem, prośbą. Luccardi'ego potop, przedstawia grupę szczęśliwie ułożoną: na skale stoi zupełnie prawie nagi mąż, po pas obnażona niewiasta doń się tuląca, z dziecięciem na ramieniu; wszystko to ułożone tak, że jak najściślejsza jedność powstaje, i nagości zakrywają się. Mąż pełen siły, patrzy w dal, jakby badał ogrom niebezpieczeństwa; niewiasta wyczekuje pomocy od męża, dziecię od matki. Że to potop, poznać oczywista można chyba z tego, że te postacie przez pół, lub całkiem nagie, że rozpuszczone niewiasty włosy, na których spoczywa dłoń męża, obejmującego jéj kibić, przylegają do ciała jako i odzienie. Formy tu klasyczne. Rinaldego panna mądra i głupia, zaintrygowała mię tym, że jakiś, jak się okazało kandydat na artystę, ocenił je niekorzystnie; że głupoty w żadnéj figurze nie widać. Będzie z tego kandydata już niezawodnie szorstki naturalista w całéj brutalnéj prawdzie naturalizmu. Rinaldi nie przedstawił głupoty, kretynizmu, i dobrze zrobił. Jego niewiasta głupia ma wcale inny charakter, bardzo artystycznie, głęboko pojęty. Jest to postać wzniosła, trochę niedbale przybrana, suknia cokolwiek w nieładzie się opuszcza na pierś, a spada w pomiętych fałdach; w twarzy rodzaj jakoby znużenia, rozmarzenia, wzrok takoż marzycielski; ta ręka z lampą zgasłą, wyciągnięta do mądréj panny, jakoś téż tak z niechcenia. Przeciwnie mądra panna, siedząc w postawie szlachetnéj, odznacza się w twarzy jakąś determinacyą, siłą; suknia na niéj w szlachetne, może nawet przyskąpe fałdy się układa; lampka jéj katakumbowa w kształcie łódki, płonie żywo, a i dzbanek obok niéj stoi, kiedy jéj towarzyszki głupiéj wywrócony. Artysta bardzo słusznie mądrość w pannie ewangelicznéj przedstawił jako energią, dzielność, siłę ducha; głupotę jako omdlałość, marzycielstwo, bezradność. Czyż marzenie nie jest istotnie głupotą zabijającą rozum? czyż marzycielstwo nie odwodzi istotnie od Boga? Nie mówić już o tych, co żyją bezustanku w świecie ułudy, wymarzonym; co pożerają nieustannie pokarm podawany im przez sztukę, obrachowaną na elektryzowanie coraz więcéj tępiejącego uczucia i zmysłów; ale czyż marzycielstwo i na polu umiejętności, nawet ścisłych, nauk przyrodzonych i filozofii, na polu polityki, społecznym, nie stworzyło i nie tworzy wielu nieprzyjaciół zaciętych kościołowi, Chrystusowi, Bogu? Rozum ostatecznie musi koniecznie doprowadzić do Boga; fantazya nigdy, bo jest władzą duszy, która ją ciągnie w dół, gdzie Boga nie ma.

To folgowanie fantazyom, unikanie rozumu ścisłego, rozbiorowego, sprowadza mianowicie na kraj nasz niepowetowane klęski; bo u nas osiwiali filozofowie, jak za młodych lat jeszcze, miewają fantazyą za źródło wiedzy, za kryteryum prawdy.

Tyle o dziełach rzeźby z wystawy rzymskiéj. Jeżeli nie ma tu, jak nigdzie dziś, dzieł zdumiewających genialnym pomysłem, doskonałą formą, to jest przynajmniéj ten szlachetny eklektyzm, który zamrzeć nie pozwala lepszym tradycyom z przeszłości. Zresztą na całéj wystawie nie spotkało się téż znowu monstrualnych figur z wykrzywionymi członkami. Rzym zawsze chlubnie się odznaczał rysunkiem poprawnym; i tym celuje i dzisiaj.

(Ps) **Z nad Dniestru.**

(Dokończenie.)

„I cóż więcéj, napisał p. Beust w swéj nocie do Rzymu? zapytałem kwestarza.“

„Przypominam sobie dobrodzieju łaskawy, że się powoływał na opinią publiczną, mówiąc, że nie bez przyczyny zirytowała się ta publiczna pani z powodu pewnych objawów w Soborze, które, gdyby się ziścić miały, utworzyłyby nieprzebytą przepaść pomiędzy prawami kościoła a rządami państw teraźniejszych. O. Magister z uśmiechem zauważył, czytając ten ustęp, że to nowy wynalazek dyplomatyczny: opinia, która się zirytuje. Najlepiéj będzie wiedział p. Beust, czy opinia sama się obrusza, czyli bywa obruszoną za pomocą tego środka, który się nazywa funduszem do dyspozycyi, który w każdéj chwili użytym być może, skoro p. ministrowi potrzeba jakąkolwiek opinię publiczną przez papierowe organa poruszyć i obruszyć; jakim czołem może którykolwiek minister mówić w tych czasach o irytacyi opinii publicznéj, skoro całemu światu wiadomo, jak się ta operacya odbywa. Ale p. minister coś więcéj nadmienił, bo o przepaści, któraby powstała między prawami kościoła a nowéj ery państwami. Prawda, rzekł O. Magister, już w téj chwili jest przepaść nie mała, i łatwo się powiększy. Ale kto ją utworzył? kto winnym jest? Czy ten, który rabuje — czyli ten, który znosić musi rabunek? Ażali nie są winnymi owi bez wiary, a kościoła nienawidzący prawodawcy i kierownicy państw, którzy kościół z jego przyrodzonych i godnie nabytych praw odarli? Ażali nie są winnymi owi kuglarze liberalizmu, którzy w imieniu państwa odtrącają kościół niewdzięcznie? Ażali nie są winnymi owi reprezentanci wiernych ludów, którzy o katolickich mandatach swoich zapomnieli w obec spiskowców od młotka i kielni, w obec koncessyi i posad przy bankach?

A przecież zbyt łatwo dałaby się zamknąć ta przestrzeń między państwem a kościołem. Niech tylko rząd przejmie się tą praktyczną a niedającą się w żaden sposób zaprzeczyć prawdą, że mając władzę nad katolickimi ludami, musi po katolicku rządzić, tj. że wszelkie ustawodawstwo musi uwzględniać zapatrywania i uczucia katolickiego ludu, że prawa i rozporządzenia wszelkie muszą się opierać na przekonaniach i tradycyi katolickiéj, słowem, że narody katolickie według zasad chrześciańskich rządzone być muszą. Dajcie nam rząd katolicki, wołają narody, i mają prawo żądać tego. Lecz w Austryi przeciwnie się dzieje. Odkąd na czele rządu faktycznie stanął minister, obcokrajowiec, akatolik, odtąd poczęto zmieniać ustawy na korzyść garstki żydów, protestantów i rozmaitych odcieni niedowiarków, a tak z państwa ściśle katolickiego — oczywiście z józefińskiemi wrzodami — stała się Austrya państwem bez Boga, utworzono z niéj bezbożny bezreligijny, a w języku liberalnym bezwy-

znaniowy potwór państwowy. Pan Beust nie mógłby więc znieść tego, aby w tak powabnéj dla massonów kreacyi państwowéj, światło wiary zkądkolwiek na nowo rozdmuchanem być mogło, albo żeby prawa kościoła zdeptanego otrzymały równouprawnienie, i obok jedynie uprawnionych praw wszechmogącego państwa stanęły. Byłoby to według jego logiki wielkiém nieszczęściem, istną klęską Austryi pięćkroć nowoumundurowanéj, potém przez Milfelda et consortes, a przeważnie przez redaktorów żydowskich przekształconéj, a nareszcie przez p. Tinti pokropionéj. Przeto pan Beust, on lucyfer Austryi, staje jak anioł stróż przed Watykanem z ognistym mieczem swojéj depeszy i woła na przestrogę ku auli soborowéj: „Cesarski i królewski rząd musi sobie zastrzedz — o ile konieczność tego wymagać będzie — zabronić publikacyi każdego aktu, któryby uwłaczał majestatowi prawa, a każda osoba (zapewne i baby kościelne) któraby przekroczyła ten zakaz, odpowiedzialną będzie w obec sądów.“ Straszliwe słowa z ust luterskiego ministra, zapewne wywołały w auli soboru powszechną trwogę i drzenie. Bo i cóż czeka austryackich biskupów po ich powrocie do dyecezyi? Nic innego, tylko powleką ich od sądu do sądu, skoroby się poważyli nauki kościoła katolickiego, który zasadniczemi ustawami ma w Austryi zadeklarowane uznanie i wolność, owieczkom swoim ogłaszać.

Tak przemawia minister cesarza i króla apostolskiego, na którego głowie niedawno spoczęła korona św. Szczepana, którego imię w kanonie mszy św. z nakazu kongregacyi obrz. wymienia się, do namiestnika Chrystusowego, otoczonego majestatycznym gronem biskupów. Tak się odzywa trybun nowéj ery wolności w Austryi, którą zasadnicze ustawy odmłodzić i niespożytą siłą napełnić miały, choć już przed ich usmażeniem, śpiewały ludy po rynkach a nawet i po kościołach: „Oesterreich wird ewig stehen.“ Taka silna dziś Austrya, a rząd jéj czegoż się niepokoi dekretami Soboru? Taka wolna, a rząd jéj czemu się uzuchwala narzucać więzy kościołowi katolickiemu? Jeśliście tacy silni, natenczas sprawdza się na was prorockie słowo: Timuerunt, ubi non erat timor. Jeśliście tacy patronowie wolności, natenczas drugie słowo sprawdza się na was: Captus est in iniquitate sua. Ale, ale, powiedzmy prawdę, taka siła i wolność taka, kłamstwem jest, skoro wam Sobór odbiera spokój i do podobnych objawów przynagla was. O cóż chodzi p. Beustowi? O majestat praw w Austryi wydanych, mówi bowiem, że „zabronioną będzie publikacya każdego aktu soborowego, któryby obrażał majestat prawa.“ P. minister, czytając te wyrazy, musiał się sam uśmiechnąć, wiedząc dobrze, że ten majestat aczkolwiek przysięgą zatwierdzony, może wkrótce znaleść się w śmiecisku pod plwocinami opozycyi, albo przynajmniéj pójdzie pod ławę w skutek przeciwnego sobie prawa, zawotowanego przez posłów katolickich, wołających, że ludy ze zgrozą i narzekaniem odwracają się od takiego prawa i majestatu jego. Snać p. minister podnosi w obec kościoła majestat prawa ludzkiego, przez które majestat Bozkiego prawa znieważony został. Trudno przewidzieć, czy ten „lucyfer Austryi“ długo jeszcze przyświecać będzie téj nowéj ojczyznie swojéj, lub czy z zakończeniem Soboru nie zgaśnie. Ale przypuśćmy, że ta przybrana matka będzie jeszcze chodzić po manowcach liberalizmu w światłości iluminowanego oblicza jego, że on duch opiekuńczy z Saksonii sprowadzony, nieopuści Cis i Translitawii, jakże przeszkodzi, żeby dekreta Soboru Watykańskiego nie przekroczyły granic państwa, w którém majestat prawa ludzkiego wyższą ma cześć nad prawo Bozkie? Czy zamknie kłódkami usta biskupów? Czy nakaże poznosić kazalnice, pozamykać kościoły, aby żadna z uchwał soborowych nie mogła być ogłoszoną? Czy usunie lub powypędza ze szkół i uniwersytetów duchownych nauczycieli, aby im się nie wymknęło coś z owych nauk i praw, ktore Duch św. przez usta nieomylnego następcy Piotra św. ogłosi ludzkości całéj? W takim razie wywoła p. Beust, wszechmocny minister luterskiego wyznania, nową, zapewne i najnowszą bo ostatnią erę, w któréj Austrya już tylko fotograficznie w historyi kwitnąć będzie. „Austria erit in orbe ultima.“ Lecz p. Beust, wielki inkwizytor w antirzymskiéj Austryi zapomniał na stugębną prasę dziennikarską, która dekreta soborowe jeszcze przed ich zformułowaniem i ogłoszeniem roztrębuje dla wszelkiego gminu. Będzie więc zmuszony p. Grossinkwizytor być oraz Grosscenzorem w państwie wolności. Śliczne zadanie dla chrzestnego papy żydowsko-austryackiéj ery liberalnéj! Jednak według jakiejś tam gazety żydowskiéj, która tylko w Wiedniu może egzystować, odpada Rzym od katolicyzmu; zatém p. Beustowi dostać się może rola papieża w narodowo-katolickim kościele austryackim, a natenczas jednym zamachem pozbędzie się kłopotów, które mu Sobór watykański nagotował. Panie ministrze! bez gilotyny, bez konwentu, bez kolumn katów i oprawców rewolucyjnych, któreby tysiącami mordowały wierzących w Chrystusa Pana, trudna bodaj na chwilę sprawa z kościołem katolickim, nie zwalczony jest. A choć owemi środkami przywiedziesz go na chwilę do milczenia, to krew dzieci jego jeszcze głośniéj zawoła, i znowu powstaną świątynie z gruzów, zapełnią się klasztory, zabrzmi słowo odwiecznéj prawdy z ambon, na stolicach biskupich zasiędą stokroć gorliwsi pasterze, wierni ich otoczą miłością i czcią synowską, a pan ujrzysz, że groźbami i tyrańskiemi środkami wydałeś wojnę nie ludziom ale Bogu, który nie z takich jak pan naśmiewał się i naśmiewa.“

„Mój drogi bracie Kalasanty, widzę że wasz X. magister nie lada ma głowę, kiedy tak pięknie zcenzurował depeszę dyplomaty sławnego.“

„Jużci, — rzekł kwestarz, — nie darmo się mozolił w szkołach, i teraz wciąż pracuje, ale tę krytykę zebrał z niemieckich gazet katolickich, które dobrze piszą, jak mówi, za kościołem, jeno w kwestyi nieomylności papiezkiéj wahają się i opozycyę osłaniają.“

„Widoczna — powiedziałem — że mieszają biskupów opozycyjnych z dziennikami, które walczą po stronie tychże. Niechby stawały na stanowisku dziennikarskiém, a wtedy uderzając na przeciwne większości Episkopatu dzienniki, mogłyby z większą swobodą oświadczyć się za nieomylnością, któréj ogłoszenia

pragną najuczeńsi na Soborze biskupi hiszpańscy, amerykańscy, belgijscy, włoscy i francuzcy.“

„Tak jest dobrodzieju, że należałoby oddzielić powagę biskupom właściwą od dzienników, chociaż głosy z obozu opozycyjnego nie zawsze zachowują powagę i godność. Zresztą nie dobrze to świadczy, skoro opozycyoniści mimo kilkakrotnie objawionego w téj materyi zdania Ojca św., trwają przy swojém zdaniu. Przecież Ojciec św. ma potwierdzać biskupów w wierze, skoro więc daje pochwały tym, którzy świetnie przemawiają za dogmatem nieomylności, wypadałoby nie stawiać przeszkód, ale odstąpić od próżnéj walki. Jakoś mi się to nie podoba, a prosty rozum mój nie może się nic mądrego dopatrzyć w tém kontrowaniu, prócz uporu, który i w najuczeńszych ludziach powstaje z zamiłowania samego siebie. Pisali nasi z Rzymu, że tam co do nauki teologicznéj tak kwalifikują biskupów: O hiszpańskich mówią, że są podobni do księgi in folio, o belgijskich, włoskich i amerykańskich, że są księgami in quarto, francuzcy in octavo, a o niemieckich i austryackich z nic nieznaczącym na taką liczbę wyjątkiem mówią, że ich erudycya ściśle teologiczna mieści się w broszurach i traktatach.“

Spojrzawszy na zegar, zawołał poczciwy kwestarz, że musi już wyjeżdżać. Pożegnałem go więc, otrzymawszy przyrzeczenie, że na przyszły miesiąc znowu odwiedzi mię, „jeżeli — jak dodał — niezawezwie mię ewangieliczny gospodarz, abym zdał sprawę z jałmużny, którą zbieram i z włodarstwa życia całego.“

Protest biskupów hiszpańskich
przeciw
żądaniu zaprzysiężenia konstytucyi.

Tygodnik hiszpański, wychodzący w Rzymie przez czas Soboru, pod tytułem: *Eco de Roma,* zamieszcza protest biskupów hiszpańskich przeciw żądaniu rządu, żeby wraz z duchowieństwem sobie podwładnym zaprzysięgli nową konstytucyą. Redakcya pisma od siebie, na wstępie, ocenia skutki dla Hiszpanii z tego wystąpienia biskupów.

Podajemy wszystko w dosłownym przekładzie:

„Łacno pojąć, jak w sam czas, jak dzielnie i po apostolsku Biskupi narodu Hozyusza i Rekareda pospieszyli bronić i przezacnéj godności i świętéj wolności Kościoła.

Bóg najmiłosierniejszy zaczyna litować się nad Hiszpanią: tak nam każe wierzyć i spodziewać się postępowania Prałatów i całego duchowieństwa tego narodu. Przykład jego stałości, męztwa, pobożności i żarliwości o swój honor nie zostanie bezpłatny. Ilu w Hiszpanii wié i czuje, co człowiek i co chrześcianin winien samemu sobie; ilu wié, co katolik winien świętemu Kościołowi, swéj Matce, będą patrzali z religijnym szacunkiem, z synowską delikatnością i z entuzyazmem patryotycznym na ten widok oporu prawdziwie apostolskiego przeciw żądaniom, których jawny cel jest poniżyć Oblubienicę Niepokalaną Chrystusową w osobach jéj Biskupów i poświęconych sług ołtarza.

Oni bronić będą wraz z wolnością Kościoła i świętéj wolności cywilnéj szlachetnych i katolickich synów Hiszpanii.

Oni, z sztandarem Jezusa Chrystusa, rozpuszczonym na czte-y wiatry, będą ciągle żywą i użyteczną nauką, żeby wskazać prostą drogę obowiązku tym, którzy celując ową roztropnością ciała, nieprzyjaciółką Boga, popełniają błąd podwójnie opłakany, że zapominają, iż zręczność największa polegała zawsze na wypełnianiu jakiegobądź swego obowiązku, bez odstępowania odeń ani gwoli fałszywym względom, ani gwoli rachubom ludzkim, z których się śmieje zawsze logika a mści się sprawiedliwość.

Hiszpania, jak wiele innych narodów, jak wszystkie narody, zbawi się nie przez dzieło ekwilibristów doktrynerów, wychowanych w szkole wieku, lecz przez cnotę bohatyrów wiary i czci, biorących siłę swą u stóp bozkiéj katedry Kalwaryi, u stop Stolicy Piotrowéj, w podziemiach Katakumb i pod sztandarem Konstantyna.

Dziękujmy Bogu za liczne dowody, których nam nie skąpi, że ni w duchowieństwie, ni w ludzie katolickiéj Hiszpanii nie zaschło płodne ziarno tych bohatyrów.

Otóż dokumenta:

I.

Serenissimo Sennor.

Biskupi hiszpańscy, tu podpisani, przemieszkujący w Rzymie gwoli Soboru powszechnego, udają się z szacunkiem do Waszéj Wysokości, dopełniając przykrego obowiązku uwiadomienia go o bardzo ważnych powodach, które wstrzymują ich od złożenia w swym imieniu i od upoważnienia swego kleru, żeby złożył przysięgę na nową konstytucyą polityczną, stósownie do ukazu, danego przez ministeryum łaski i sprawiedliwości, z dnia 17go m. ubiegłego.

Ten akt religijny, którego rząd W. W. wymaga od Biskupów i od Kleru, pod formułą „przysięganie na Boga i świętą Ewangielią“, którego wymaga, żeby był bez wyjątku i zastrzeżenia, owszém oświadczając wyraźnie na początku tego ukazu, że rzeczona konstytucya nie zawiera nic, coby się sprzeciwiało przepisom religijnym, i którego wymaga na ten cel, ażeby Kler przyłożył się ze swéj strony do ubezpieczenia i utrwalenia wielkiego dzieła Kortezów ustawodawczych, i żeby zarazem dał „dowód, że nie popiera najmniéj uczucia oporu naprzeciw wolnościom zdobytym w rewolucyi wrześniowéj“: ten akt obraża wielce sumienie i godność Biskupów, jest poza zakresem władzy świeckiéj, i bynajmniéj nie jest w zgodzie z samąż konstytucyą, którą się nakazuje zaprzysiądz. W. W. racz pozwolić, że jego uwadze polecim na chwilę tu te punkta.

Mówimy, że obraża wielce sumienie nasze i godność; albowiem jawna jest, że Episkopat hiszpański przedstawienia czynił czasu swego przeciw niektórym zasadom, zapisanym w konstytucyi niniejszéj, jako przeciwny — nie jéno chwalebnym tradycyom i obyczajom ludu hiszpańskiego, lecz nawet świętemu zakonowi Boga, który obowięzuje państwa zarówno jak pojedyńcze osoby, a nie zgadza się na ten rodzaj ateizmu politycznego, co udziela równych praw przesądom, jak prawdziwéj religii, błędom jak prawdzie, złemu jak dobremu.

Biskupi, prawi nauczyciele w tém co się tyczy religii i moralności, czynili przedstawienia i objawili swój sąd o nader ciężkiém złem, które zasady te i ich konieczne następstwa sprowadzą dla religii, dla obyczajów i dla pokoju spokojności ludów, które im

polecone zostały, i za których zbawienie mają odpowiadać Najwyższemu Pasterzowi.

Daléj: na tym sądzie doktrynalnym opiera się sąd pana ministra łaski i sprawiedliwości i powiada: „prawo zasadnicze nie zawiera nic, coby się sprzeciwiało przepisom religijnym“, wnosząc ztąd, że duchowieństwo powinno zaprzysiądz ją bez ograniczenia na świętą Ewangielią.

Czy zostaje ocalona i godność i sumienie Episkopatu? możeż zaprzysiądz za taką jedynie poręką?

Poczém dodaje pan minister, że św. Stolica uznała przysięgę za dozwoloną, dając znać Episkopatowi hiszpańskiemu, że może Kler złożyć ją. Prawda; ale zapomniał dodać, że to oświadczenie św. Stolicy było wskutek innego, danego przez rząd hiszpański, zaręczającego Ojcu św., że w domaganiu się przysięgi od Kleru nie zażądał, albo, jak się nam tłomaczyło, nie miał zamiaru żądać, żeby duchowieństwo zaprzysięgało cobądź przeciwnego prawom Boga i Kościoła.

Powiedzenie, że przysięga nie obejmowałaby w żadnym razie tego, co konstytucya może mieć rzeczonym prawom przeciwnego: to zastrzeżenie znika, odkąd się żąda przysięgi bez ograniczenia, w tymże czasie, kiedy się zaręcza, że konstytucya nic nie ma przeciwnego przepisom religijnym.

Nadto nie sądzimy, żeby się mówiło Jego Świątobliwości o przyłożeniu się duchowieństwa do ustalenia tego wielkiego dzieła Kortezów i o daniu dowodu zgody na wolność zdobytą w rewolucyi wrześniowéj.

Nie będziem już nic więcéj mówili; bo Wasza Wysokość rozumie dobrze, że okoliczności zmieniły się w samejże istocie rzeczy.

Powiedzieliśmy na wtórém miejscu, że wymaganie przysięgi, we formie przepisanéj ukazem, przechodzi atrybucyą świeckiéj władzy; albowiem, jakkolwiek jest pewną, że co dotyczy szczęśliwości doczesnéj obywateli, rząd ma prawo żądać szacunku, wierności i posłuszeństwa prawom, byleby nie sprzeciwiały się temu, cośmy winni Bogu; wszelako nie ma prawa zobowięzywać do uważania za dobre, sprawiedliwe i przyzwoite, co nam rzeczywiście takiém się nie wydaje.

Może nakładać nam ofiary dla spraw ogółu i dla dobra publicznego; lecz nigdy poświęcenia sumienia, ni téż honoru i czci osobistéj, które każdy rząd i każda powaga powinna szanować zawsze w tych, którym rozkazuje.

Teraz zaś, nietylko sumienie, jakeśmy już powiedzieli, lecz nawet honor i cześć wzbraniają Biskupom i duchowieństwu składać przysięgę, któréj od nich wymagają; a ten honor i cześć są dla kapłanów zakładem wielkiéj ceny, którego nie mogą pozbyć się bez utraty wpływu nieodzownego dla wypełniania z pożytkiem powołania swego. Lud nie bawi się abstrakcyami: a lud hiszpański, który widział i widzi ninie, że pod zasłoną nowéj konstytucyi i niejako w następstwie zasad, na których się ona opiera, rozdarł konkordat uroczyście z Ojcem św.; że stan duchowny, uważan za wydział urzędników państwa, że pozbawion własnego sądownictwa, że umieszczon na ostatniem miejscu etatu w pobieraniu utrzymania, które, jako wynagrodzenie, ze sprawiedliwości mu się należy; że burzone świątynie, rozpędzane familie zakonne, i że jęczą pod twardym obchodzeniem się z nimi słabe niewiasty, poświęcone Bogu; że projektują, mimo widocznéj niekompetencyi, zniesienia dyecezyi i kapituł; lud hiszpański, który widział i widzi ninie wszystko to, i co dla krótkości się pomija, jakież pojęcie sobie utworzyłby w swéj religijnéj prostocie o swych Biskupach i duchowieństwie, gdyby ich zobaczył stojących przed urzędem cywilnym, żeby złożyć przysięgę na zachowywanie konstytucyi, czego lud nie umiałby rozróżnić od istotnego przyzwolenia na opłakane ekscesa, które co tylko wspomnieliśmy.

Nie: nie należy do atrybucyi żadnéj władzy publicznéj, nie przystoi rządowi narodu, nie przystoi samemuż narodowi katolickiemu w niezmiernéj większości, żeby Episkopat i duchowieństwo, przechodząc przez takie poniżenie, utraciło zbawienny wpływ, który tak pożytecznym był i będzie zawsze dla porządku i pokoju narodów.

I jakoż mogłoby pogodzić się wymaganie i przymus tego rodzaju z konstytucyą, która się mianuje najliberalniejszą; z konstytucyą, która głosi wolność sumienia i uświęca tyle praw indywidualnych? Jak pogodzić przysięgę na Boga i świętą Ewangielią z konstytucyą, która prawnie nie uznaje ni Ewangielii, ni Boga.

Panie: W. W. jest nadto światły, żeby podpisani mieli potrzebę dodawać choć jedno słowo więcéj nad to; kończąc swe pełne uszanowania przedstawienie, potrzeba im tylko zaprotestować przeciw jakiejbądź idei politycznéj lub stronniczéj, jakąby może chciano im przypisać. Są obywatelami hiszpańskimi, szanują władze ustanowione, i bez konieczności przysięgi umieją dochować wierności i posłuszeństwa winnego prawom, nie przez strach, lecz gwoli sumienia, wedle rozporządzenia bożego i przepisów Kościoła. Niech się tedy pan minister łaski i sprawiedliwości nie obawia, żeby Biskupi i duchowieństwo zamierzało tworzyć przeszkody prawdziwemu postępowi ludu hiszpańskiego, lub rozwojowi wolności zdrowéj i rozsądnéj. Nie sądzimy, żeby taka obawa opanowała rząd wobec negatywy deputowanych, którzy odmówili przysięgi na konstytucyą i daleko mniéj może ją mieć względem podobnegoż postanowienia Biskupów i duchowieństwa, którym nie podobna nakładać za obowiązek to, co było do woli zostawiono dla twórców prawa zasadniczego.

Nie: nikt większym miłośnikiem wolności, postępu i oświaty w jéj prawdziwym i rodzinnym znaczeniu nad Kościół katolicki. Nie wzdryga się on przed wolnością, lecz przed wolności przedrzeźnieniem; nie potępia cywilizacyi, lecz tych, co pod pokrywką oświaty pragnęliby zniweczyć 19 wieków i wtrącić znowu ludzkość w ciemności i okropności pogaństwa.

(No: nadie mas amante de la libertad, del progreso y la civilizacion, en su verdodero y genuino sentido, que la Iglesia Catolica. No aborrece esta la libertad, sino el liberticidio; no condena la civilizacion, sine el que, á pretesto de cultura, se quieran borrar diez y nueve siglos, y hacer retroceder la humanidad á las tinieblas y horrores del paganismo.)

Biskupi podpisani żywią tę ufność, że W. W. zechce ocenić ich przedstawienia i nie napierać więcéj

w żądaniu przysięgi, która okrom, że jest niepotrzebną i nieprzystojną, raniłaby ich w głębi sumienia, poniżyłaby ich godność, pozbawiłaby siły ich urząd, a jest przeciwna samejże konstytucyi.

Tymczasem bez ustanku proszą Boga, żeby zachował i oświecił W. W. i jego rząd, żeby szerzył pokój i dobre mienie naszéj dziś tak wzburzonéj ojczyzny.

Rzym, 26go kwietnia 1870.

(Następują podpisy: 2 kardynałów, 1 patryarchy Indyi, 7 arcybiskupów, 31 biskupów.)

Warownia Krzyża.

Pismo Zbiorowe numer 1. i 2.

Kraków. Nakład Stow. „Warowni Krzyża" 1870. Str. 80. 4o.

Trudno już dziś pono taić przed sobą, że wpływ doktryn Zachodu coraz bardziéj i u nas widocznym się staje. Bo kto u nas choć trochę zarwał z książek rozumu, już się zbyt wielkim być mieni, aby nie miał dzielić z drugimi utartéj maksymy, że można być katolikiem — ale trzeba brać wszystko na rozum i po prostu nie przesadzać. A przesadą niestety wszystko się zowie, co Kościół nakazuje. — A tymczasem zastęp katolików, którzy, wierząc w Kościoła Chrystusowego naukę, jegoż przykazań przekraczać się boją, maleje z dniem każdym — a w obronie zasad katolickiéj wiary bodaj dziś — krom księży — ośmieli się ktoś stanąć.

Ztąd z nietajoną radością powitaliśmy pojawienie się pierwszego poszytu „Warowni Krzyża", wydanego nakładem Stowarzyszenia tegoż imienia, a powitaliśmy z radością dla tego, że w niéj nam przybywa nowy towarzysz do téj potrzeby, w któréj sami łamiemy się od tak dawna. Z przyjemnością tedy przypatrzym się téj *Warowni*, jak nam się za pierwszém swém okazaniem przedstawiła.

To jednobyśmy tylko zauważyli na wstępie, że dla niewtajemniczonego jakoś nam na *incognito* ta publikacya zakrawa, bo ani odpowiedzialny redaktor się nie nazwał, ani też pojedyńcze artykuły nie noszą nazwiska autorów. A jednak treść ich i forma jest tego rodzaju, że się ich nie potrzeba wstydzić — a występując w sprawiedliwéj walce do boju, nie potrzebujem spuszczać przyłbicy.

Jako moto do wstępu użyto słów z testamentu hetmana J. Zamojskiego wyjętych z kazania, mianego na jego pogrzebie przez ks. Fabiana Birkowskiego: *„Te charissime fili! non modo hortor, verum etiam obtestor, ut imprimis religionem catholicam constantissime tuearis"* i t. d. —. Na tem osnuty wstęp do niniejszéj i dalszych publikacyi. Nastrój ducha tak w nim wysoki, a wykonanie tak potężne i znakomite, żeśmy dawno już z czemś podobnie napisaném się nie spotkali. Jest to odczyt miany na pierwszém pełném zebraniu Stowarzyszenia *Warowni Krzyża*, w którego pierwszéj części kreśli autor w śmiałych pociągach wprawnego pióra posągową postać wielkiego hetmana, a w drugiéj plan walki bliżéj oznacza. Pierwsza część tego odczytu mianowicie stoi po nad krytyką i chyba ją tylko pochwalić a każdemu polecić możemy. Stawa tu przed oczyma naszemi „mąż, któremu równych dzieje nasze małą liczbę przedstawiają, a nad którego wyższych nie tylko w naszych ale i w daleko starszych bardzo trudno byłoby znaleść, Jan Zamojski, hetman i kanclerz koronny" — który syna swego Tomasza o to przedewszystkiem w testamencie zaklinał, aby religii katolickiéj jak najstateczniéj bronił. Kilka ustępów ze świetnéj Birkowskiego mowy kraszą nadto ten ustęp, którego autor, sam przejęty niejako i męża i czynów jego wielkością, wyraża się językiem, jak nim na one czasy pisano, gdy żył hetman, którego nam na wzór dziś stawia. Bo też wielki ten człowiek za większą sobie poczytywał chlubę i radości powód, że należał do św. katolickiego Kościoła i świętą religią rzymsko-katolicką położył za podwalinę a grunt swej chwały, — jak to — że był obywatelem wielkiéj na onczas ojczyzny i potomkiem świetnego przodków szeregu.

„Wielkie kwestye państwowe, finansów, nauk, sztuk, przemysłu, wojny, sprawiedliwości, nie wiem czy kiedy równie szczęśliwa i potężna prawica umiała razem wprowadzić w organizacyą polskiego rządu i państwa a razem tak doskonale sharmonizować, iżby sobie wzajemnie wszystkie razem pomagały ku wytworzeniu prawdziwego i stałego dobra narodu, której przywodził."

A jednak wielki ten miłośnik nauk i wódz, — reformator sprawiedliwości i prawodawca, który tak prawo przez siebie dane czcić i poszanować umiał, że zawołany przed woźnego, stanął przed uboższą bracią, — syn miłujący tak ojczyznę, że gdy mu „we Lwowie pod interregnum po królu Stefanie niektórzy to zadali, jakoby ojczyznie praw nie był", chciał — nie mając jeszcze naonczas syna — „krew królewską, którą miał za sobą, Gryzeldę Batorównę" dać do więzienia, ażby ukazał wszystkiemu światu, „że dali Bóg ojczyznę miłuje"; — mąż tylu i takich przymiotów, zasług i cnót, pisząc ostatnią wolę swemu synowi: ani rzemiosła wojennego, ani nauk uprawy, ani sprawiedliwości i praw obrony, ani wreszcie miłości ojczyzny jako najpotrzebniejszéj nie zalecał; jedno go upominał, aby przedewszystkiem religii katolickiéj bronił dodając: *„si forte regni amplissimi civem te laetaris, tanto magis multo praestantiore parente, Ecclesia catholica, laetandum tibi statuas."* Tą też religią ozdobił urzędy dwa wielkie: buławę i pieczęć koronną — a nad jego grobem słusznie mógł krasomówczy Fabian powiedzieć: „T a k i e g o ś t e d y m ę ż a s t r a c i ł a o j c z y z n o m o j a i n i e r y c h ł o s i ę n a t a k i e g o z d o b ę d z i e s z."

I dziś gdy nas nie stać już na mężów takich, którzyby do religii katolickiéj jak do Warowni się chroniąc, na tymże gruncie ratowanie ojczyzny poczynali —

— „to któżby nam dzisiaj rozumnie mógł wziąść za złe, że, żyjąc w czasach samych ruin i zniszczenia, a nie wątpiąc ani na chwilę, że resztki życia uratować można"... „siły nasze skupiamy i tworzymy z gorąco wierzących serc naszych Warownię dla interesów najwyżéj obchodzącéj nas sprawy, w któréj wzajemnie wszystkich spraw naszych widzimy najpotężniejszą Warownię?"

Szczęść wam i błogosław Boże! dodajemy tu z

naszéj strony, przejęci do żywego serdecznėm ustępu tego gorącem i ciepłem zapału najszlachetniejszego. Ale bo też nie masz w tym całym ustępie pierwszym (do str. 13.) ani jednego fałszywego tonu.

Autor nakreśla daléj plan boju *Warowni*, zarazem gdzie może, krzyżową zajmie przeciwników sztuką.

II.

Jeśli twierdza świéżo wzniesiona wzbudza ze strony nieprzyjaciela krzyku wiele, to pono najlepszym dowodem dla niéj, że jest użyteczną i na tém właśnie miejscu potrzebną. Autor więc przypomina czytelnikom (resp. słuchaczom) swoim, ile krzyku wywołało samo powstanie Stowarzyszenia *Warowni Krzyża* i siecze dosyć niemiłosiernie, mianowicie dwa organa prasy, które hałasowi temu dały w kolumnach swych wyraz — w sposób znany nam już zresztą zkąd indąd — i równocześnie zastawia się przeciw kilku zarzutom. A przechodząc z tego do wytknięcia zadania i celu *Warowni*, jako piérwszy uważa ten, aby garstka gorąco wierzących z téjże *Warowni* dała baczenie na takie stanowiska, jak lud, rodzina, szkoła, dziennikarstwo i instytucye społeczne, aby w danym razie panom liberałom pokazać silnie a skutecznie, że nie oni tam jeszcze wyłącznymi panami.

„Jest i na to *Warownia*, aby tym nawet, którzy w niéj nie przebywają, ale usiłują jéj sprawie pomagać, służyć za pewien punkt spójni moralnéj i trzymać w obec nich sztandar téj sprawy wysoko i dość rozwinięty, aby się w razach trudnych lub wątpliwych orientowali.“ Po trzecie „jest *Warownia* jeszcze i na to, aby czasów napaści hord lud bezbronny chronił się do niéj“ — a taką napaścią, na to co katolikom święte i drogie, był n. p. ów zarzut barona von Tinti w izbie wiedeńskiéj: „że kto Rzym miłuje, ten jest zdrajcą swego kraju“ — w obec któréj to obelgi posłowie polscy ust nie otworzyli.

„*Warownia* jeszcze osłania żywność i posiłki“, aby nie były zatrute lub skonfiskowane, a taką żywnością „dla okolicznéj ludności, są pisma ludowe affektujące religijność.“ *Warownia* jest i na to, aby zużytkować rozproszone sił gromadki, aby obserwować miejscowość i manewry nieprzyjaciół. A nakoniec i to także celem *Warowni*, aby się w niéj skupiać modlitwą i czytaniem duszę zbroić.

Do téj zaś *Warowni* wstęp i zajęcie znaleść może każdy katolik, jakiegobądź stanu lub wieku, jakiegobądź zajęcia lub zatrudnienia, bo: „bióro, komtoar, szkoła, warsztát, izba radna itp. stanowiska przedstawiają jedno wielkie forum, na którém się urabia dobro powszechności. Są to.... boczne nawy i kaplice świątyni, w których pod wpływem i kierunkiem ducha religii, wykształca się duch narodu“.... —

„Ale żeby tak było, trzeba licznie i dzielnie zespalać siły w obozie wierzących. Trzeba się kształcić na wielkiego obywatela, kiedy nim pojedynczo być nie możemy.“ Kształcić się na ludzi charakteru, być ludźmi instynktu katolickiego, namiętnie umiłować prawo Kościoła, i nigdy nie rozpraszać choćby najmniejszéj siły na rzecz dziennych opinii, a umieć stanąć przeciw wyuzdanéj tyranii dziennikarstwa.

„Tak zaś być może, bo my katolicy jesteśmy tu jeszcze u siebie, a bezbożność jeszcze nie dostała indygienatu, tylko na nas spada i w miarę naszego ustępowania szerzy swoje przywłaszczenia“ — bo i dzisiaj mamy jeszcze mężów głośnego imienia a wiernych Kościołowi — a wreszcie jesteśmy potomkami narodu, którego wielki hetman kiedyś, umierając, dla jedynego syna to przedewszystkiém przekazał upomnienie, aby był wiernym Kościołowi katolickiemu.

Otóż szkielet programu, który się mieści na stronach 9ciu, (od 13—22) a w którym objęto wszelkie tętno narodowego żywota i na każdym punkcie téj *Warowni* rozstawiono czujne czaty z tém bezustannėm hasłem: obrona wiary praojcowéj. *Warownia Krzyża* wierzy mocno, że z utratą téj wiary utracim resztki ojcowizny naszéj — i dla tego tych resztek z narodowego programu bronić zamierza do ostatka, kładąc się wałem przed bezbożnością, która tak jawnie a widocznie u nas się szérzyć poczyna.

I któżby nie zechciał przyklasnąć temu dziełu, któżby im odmówił pomocy i bratniéj nie podał ręki?

(D. n.)

List ks. prałata Sosnowskiego w Dzienniku Poznańskim.

Przypomną sobie czytelnicy nasi odezwę p. Kulczyckiego w liście soborowym do drezdeńskiego *Tygodnia*, by w całym kraju otworzono składkę na potrzeby ks. prałata Sosnowskiego, nie tyle, żeby istotnie przyjść w pomoc pozbawionemu środków materyalnych administratorowi dyecezyi lubelskiéj i podlaskiéj, ile, by tą składką demonstracyą olbrzymią od morza do morza, przeciw księżom Zmartwychwstańcom wywołać. Odezwę tę p. Kulczyckiego zamieścił *Tydzień* drezdeński w num. z 29. maja bez wszelkiego zastrzeżenia. *Tydzień* sam z 5. czerwca otwiera ową składkę, także bez najmniejszego zastrzeżenia co do celu wyrażonego w liście soborowym. Następnie *Dziennik pozn.* z 11. czerwca otwiera składkę również bez zastrzeżenia, iż nie przyjmyje zgoła intencyi, celu, jaki p. Kulczycki do owéj składki przywięzuje, celu, iż ta składka ma być składką oburzenia przeciw Zmartwychwstańcom. *Dziennik* składkę ową oburzenia otworzył następującym listem z Wrzesińskiego:

„Zebrani w G. na obchód 25letniego kapłaństwa księdza R. w maleńkiém kółku pochwyciliśmy myśl rzuconą w *Tygodniu* drezdeńskim, i zebraliśmy na potrzeby ks. prałata Sosnowskiego w Rzymie 8 tal. itd.“

I tu żadnego zastrzeżenia.

Następnie p. Chłapowski ze Szółdr w liście do *Dziennika pozn.* z dnia 16. czerwca zaprotestował przeciw podobnemu postępowaniu, zaprotestował nie przeciw składce jako takiéj, jéno przeciw składce oburzenia, przeciw demonstracyi, przeciw plebiscytowi od morza do morza naprzeciw ks. Zmartwychwstańcom. Myśmy to samo potém uczynili w *Tygodniku*.

Ta a jest prawda jasna i prosta.

Teraz *Dziennik poznański* przynosi w téj sprawie w 148. numerze swoim list ks. prałata Sosnowskiego datowany pod dniem 25. czerwca. Ks. prałat Sosnowski oświadcza się co do składki saméj:

„Ani z stanu ani z powołania ani też z obecnego położenia mego nie mam powodu być do tyla dumnym, abym poczytywał sobie za ubliżenie, podjętą przez niektóre pisma a głównie przez Wasz *Dziennik* myśl robienia składki dla mnie. Owszem czuję się do obowiązku wdzięczności, nie koniecznie z tego względu, iż myśl ta zostawszy urzeczywistnioną mogłaby wyjść na moją materyalną korzyść; lecz raczéj dla tego, że z nią łączy się uznanie pewnéj wartości osobistéj, niby pobudki zjednywającéj współczucie i przychylność dla mnie, moich współbraci rodaków."

Następnie wspomina o liście p. St. Chłapowskiego i wyraża bolesne swe uczucie, przykre wrażenie, „jakie uczynił list ten, który przypuszcza, a nawet stara się to udowodnić, że owa składka może być manifestacyą jednego stronnictwa i służyć temu za broń, za tryumf, za dowód wyższości nad przeciwnikami."

Daléj powiada, że żadnego stronnictwa nie stanowi, że nie ma powodu być niechętnym ks. Zmartwychwstańcom, że nie chce się zastanawiać, „o ile słuszne, zarazem użyteczne być mogą zastrzeżenia p. St. Chłapowskiego,"... „a to dla tego, iż niepodobna jest żadną siłą tak zapanować nad umysłami, aby te w ogóle nie poważyły się przywięzywać do owych datków myśli zakazanéj, choćby nawet zaklątwionéj."

W końcu czytamy oznajmienie, iż składka mimo chęci a nawet najmniejszéj wiedzy czcigodnego prałata wszczętą została, i że, by „poważne Zgromadzenie duchowne z powodu dotyczącéj go sprawy nie doznawało najmniejszego zaniepokojenia, składanych dlań ofiar przyjąć nie może."

Oto treść listu szanownego prałata.

Pozwolimy sobie dodać jedno słowo z naszéj strony. Szanowny administrator wspomina o przykrości, jaką mu list p. Chłapowskiego wyrządził. Przecież ani p. Chłapowski, ani myśmy sami w *Tygodniku* nie posądzali go, jakoby stanowił stronnictwo lub należał do jakiego stronnictwa nieprzyjaznego Zmartwychwstańcom, aniśmy też składkę jaką taką powstrzymać chcieli: słowa nasze i słowa p. Chłapowskiego są proste i łatwe do zrozumienia. — Myśmy głos podnieśli przeciw p. Kulczyckiemu, który osoby szanownego Prałata do *demonstracyi* chciał użyć i użył faktycznie. Czyż pan Kulczycki, który rzecz dobrą zeszpecił i popsuł, który téj rzeczy odjął cechę piękną i szlachetną, a dał jéj piętno nienawiści, demonstracyi, oburzenia — uczynił coś chwalebnego, a p. Chłapowski, który składkę na właściwą drogę chciał sprowadzić, chciał z niéj zdjąć to ohydne piętno — na przyganę sobie zasłużył?....

Tyle tylko z powodu listu szanownego Prałata.

Przechodzimy teraz do rozprawy z *Dziennikiem poznańskim*.

Dziennik poznański taki komentarz dodał do listu ks. Sosnowskiego:

Zamieszczone powyżéj oświadczenie ks. *Prałata Sosnowskiego* zmusza nas, niestety, do zamknięcia składki, którą z szczérą otworzyliśmy skwapliwością. Chrześciańskie miłosierdzie i narodowe współczucie nasze wskazywały nam w osobie b. administratora lubelskiego, dotkniętego przez prześladowanie Kościoła i narodu człowieka i Polaka, któremu w pomoc przyjść należy, choćby nawet inicyatywa myśli dania mu pomocy wyszła od potępionego p. Kulczyckiego. Miłosierdzie chrześciańskie pewnych sfer poznańskich i ich organu kazało natomiast śledzić i badać poprzednio, czy grosz wdowi, mający zaspokoić pierwsze potrzeby cierpiącego człowieka, kapłana i ziomka nie jest „demonstracyą przeciw OO. Zmartwychwstańcom." My takiéj insynuacyi nie mogliśmy i nie możemy pojąć, bo w daniu pomocy potrzebującemu człowiekowi i rodakowi nie dopatrujemy nigdy demonstracyjnych intencyi, i to podobnie, jak się np. nie domyślamy demonstracyjnego zamiaru przeciw Faryzeuszom w czynie miłosierdzia litościwego Samarytanina... Nie dziwim się przecież, że tego rodzaju podejrzenie samo, któremu dla tego podaliśmy wyraz w piśmie naszém, by przeciw niemu zaprotestować, obudziło w starcu-wygnańcu tak bolesne uczucie, iż wolał zrzecz się pomocy rodaków, choć ją „za zaszczyt" dla siebie poczytał, by szpetnym insynuacyom stanowczą położyć zaporę... Powtarzamy raz jeszcze, że z prawdziwą przykrością przestajemy gromadzić dla zacnego kapłana grosze ofiarne wdzięcznego narodu, z których pierwsze wniosło na ręce nasze kilku szanownych z prowincyi duchownych, zapatrujących się snać inaczéj na znaczenie podobnéj składki jak poznański organ kościelny...

Dziennik w tym ustępie objawił znowu, jak już tyle razy, więcéj złéj woli i zaciekłości, która zaślepia i rzeczy najprostszych widzieć i rozumieć nie pozwala, niż spokojnego zastanowienia i przyzwoitości.

Dziennik przekręca wszystko, co słowo niemal, to fałsz i przewrotność. *Dziennik* pisze, że „chrześciańskie miłosierdzie i narodowe współczucie jego nakazywały przyjść w pomoc człowiekowi i Polakowi potrzebującemu pomocy" —

tak dobrze — ale dodaje:

„choćby i inicyatywa myśli dania mu pomocy wyszła od potępionego p. Kulczyckiego."

W tém właśnie przewrotność *Dziennika*, bo nie o inicyatywę myśli szło, nie o to, kto składkę zaproponował, jéno o to, w *jakim celu*, w *jakiéj intencyi* ma ona być urządzoną: a tym celem, tą intencyą było, nie przyjście w pomoc człowiekowi i Polakowi, jéno *oburzenie, demonstracya, plebiscyt* od morza do morza przeciw Zmartwychwstańcom.

Nie mniejsza przewrotność w następném zaraz zdaniu:

„Miłosierdzie chrześciańskie pewnych sfer poznańskich i ich organu kazało natomiast *śledzić i badać (sic!!)* poprzednio czy... nie jest demonstracyą" ..

Podkreśliliśmy dwa wyrazy: *śledzić i badać*, bo w nich właśnie zła wiara *Dziennika*. Jak to? Więc wobec tak wyraźnych słów p. Kulczyckiego, iż składka na prałata Sosnowskiego ma być składką *oburzenia*, myśmy dopiero śledzić i badać musieli, czy ona nie jest demonstracyą?

Dziennik pisze o insynuacyi — gdzie rzecz jasna aż do zbytku, tam insynuacyi nie ma.

Dziennik w złéj wierze powiada: „w daniu pomocy potrzebującemu człowiekowi i rodakowi nie dopatrujemy *nigdy demonstracyjnych intencyi.*" My również nie dopatrujemy.

Ale kwestya inaczéj postawiona. Tu nie chodziło o danie lub nie danie pomocy rodakowi, tu chodziło o to, że p. Kulczycki chciał demonstracyi i o demonstracyi wyraźnie pisał. *Dziennikowi* wolno może nie

widzieć oczywistości, my na nią zamykać oczu nie będziemy.

Dziennik bierze przykład z czynu litościwego Samarytana i powiada, że się nie domyśla w nim demonstracyjnego zamiaru przeciw Faryzeuszom. Wielka łaska! Gdzie demonstracyjnéj intencyi nie ma, tam się jéj domyślać nie godzi. *Dziennik* przecież nie tak tępy, żeby tego nie rozumiał.

Dziennik złośliwie wciąż pisze o podejrzeniu i o szpetnych insynuacyach.

Jest szpetnością, zaprawdę, i wielką, posługiwać się bronią przewrotności, która winę własną na innych zwala, rzeczy jasne zamąca i zaciemnia, a odpowiedzialność wszelką ze siebie zrzucając, na kogo innego wskazuje palcem i woła podstępnie: On to zrobił, jego się trzymajcie!

Może to być arcyzręcznem w oczach tych, co o sumienie nie dbają, ludzie natomiast uczciwi na podobne praktyki z politowaniem tylko spoglądać muszą....

Pan Kulczycki i ks. Semenenko.

Wydrukowaliśmy list, w którym O. Semenenko zaprzeczył stanowczo, żeby OO. Zmartwychwstańcy byli się w jakikolwiek sposób przyłożyli do wygnania pana Kulczyckiego z Rzymu.

Proste zaprzeczenie wystarczało, i ktokolwiek zna O. Semenenkę, ani na chwilę nie mógł sobie wątpliwości w téj mierze pozwolić.

Ale O. Semenenko dodał wywód o rozmowie swojéj z kardynałem Antonellim i przytoczył szczegóły rozmowy. Pamięć nie mogła go zawieść co do głównych okoliczności, zawiodła go co do jednego lub drugiego szczegółu, i to wywołało zaprzeczenia i korespondencye.

O. Semenenko widocznie nie krył się i wpiérw z tém, co teraz w liście zamieścił, a że pan Kulczycki, który wedle pewnika, że się zwykle innych posądza o to, co się samemu robi, i który przeciwnikom swoim zarzuca podglądanie, szpiegowanie i t. d., stosunkami swemi w Rzymie dociera aż do OO. Zmartwychwstańców, więc wiedział o wszystkim i wyrobił sobie naprzód zaświadczenie z pruskiéj legacyi.

O. Semenenko całą tę rzecz na mniéj fortunne drogi wprowadził; miejmy przecież cierpliwość: powoli prawda wyjdzie na wierzch i okaże się, że słuszność jest po jego stronie.

Pan Kulczycki zaprzeczenia ze strony legacyi Związku północno-niemieckiego i kardynała Antonellego ogłosił i w *Kraju* i w *Dzienniku poznańskim*, poprzedzając je długim wstępem, pełnym wycieczek przeciw OO. Zmartwychwstańcom. My ni nad listem posła Arnima, ni nad odpowiedzią kardynała stanu Ojca św., żadnéj uwagi nie pozwolimy sobie, czekając cierpliwie, aż czas sam rzeczy wyświeci. Z drugiéj strony, nie będziemy również przytaczali namiętnych wywodów p. Kulczyckiego, raz dla tego, że są zbyt obszérne, a zawsze w jednym obracają się kółku nienawiści i zaciętości przeciw OO. Zmartwychwstańcom, a potym i dla tego, by nas p. Kraszewski nie pomawiał, że się w braku własnéj, cudzą strawą żywimy.

Jeden szczegół z listu p. Kulczyckiego w *Kraju* chcielibyśmy sobie zapisać. Pan Kulczycki twierdzi, że nie korespondował do *Czasu*. Redakcya *Czasu* oddałaby, zdaje się nam, niemałą publiczności polskiéj przysługę, gdyby się w téj sprawie odezwać zechciała.

Po napisaniu już słów powyższych, dochodzi nas od O. Semenenki pismo następujące:

Do Redakcyi „Tygodnika katolickiego“.

Rzym 2. lipca 1870.

Szanowny Redaktorze!

W odpowiedzi na dokumenta umieszczone po różnych dziennikach włoskich i polskich, któremi p. Kulczycki chce dowieść nieprawdy tego, com w mojém publicznem oświadczeniu ogłosił, daję następne objaśnienie.

List Jego Eminencyi kardynała Antonellego do hrabiego Arnima, posła pruskiego, to jedno tylko twierdzi: że *nie otrzymał od legacyi pruskiéj żadnéj komunikacyi tyczącéj się Kulczyckiego, i że nie w moc takowéj* (od pruskiéj legacyi otrzymanéj) *został on wydalony z Rzymu.* To jedno tylko twierdzi.

Ze słów Jego Eminencyi kardynała Sekretarza Stanu widzę, że mię pamięć pod tym jednym względem omyliła. Ale kto moje tamto pismo na nowo uważnie przeczyta, zobaczy, że chociażby tam ani słowa nie było o ambasadzie pruskiéj, istota rzeczy równie się trzyma i nie mniéj dowodzi.

Przy czém muszę wytknąć, że p. Kulczycki niewiernie i na swoję korzyść tłumaczy list Jego Eminencyi na polski język. Tam bowiem gdzie po włosku stoi: „Sono zimasto veramente sorpreso di *quanto* si asserisce nella lettera.... Imperochè etc.“ to jest gdzie stoi: „Byłem prawdziwie zdziwiony *tém* co twierdzi list.... Albowiem itd.“; p. Kulczycki kładzie: „Byłem prawdziwie zdziwiony tém wszystkiem, co twierdzi list;“ i bez żadnéj już zależności od następującego *albowiem.* Tym sposobem zaprzeczenie, które przez on wyraz *tém*, odnosi się do jednego pośrednictwa ambasady pruskiéj, p. Kulczycki każe czytelnikowi bezwzględnie odnosić *do wszystkiego*, co było w mojém ogłoszeniu. Czy sam czuł, że list kardynała nie dosyć zaprzeczał temu co było w moim akcie *)?

A więc stoi treść cała mego piérwszego oświadczenia, i mam prawo na nowo zatwierdzić: że ani ja, ani żaden ze Zmartwychwstańców, nie byliśmy sprawcami wydalenia p. Kulczyckiego z Rzymu, i aniśmy mieli w myśli przyczyniać się do tego.

Racz, szanowny Redaktorze, umieścić to moje objaśnienie w swoim *Tygodniku*, i zarazem przyjąć zapewnienie najszczerszego szacunku z jakim zostaję

najniższy w Chrystusie Panu sługa,

X. Piotr Semenenko.

---

*) Dla naocznego przekonania się i zrozumienia prawdziwego znaczenia listu Jego Eminencyi, podajemy tu na nowo text jego, według tłómaczenia p. Kulczyckiego, ze wskazaném sprostowaniem:

„Rozważywszy osnowę dostojnego pisma Waszéj Ekscellencyi z dnia wczorajszego, nie waham się oświadczyć Mu, że zostałem prawdziwie zdziwiony *tém*, co twierdzi list, z którego Wasza Ekscellencya raczyłaś mi przysłać wyciąg. Mogę *bowiem* zapewnić, że nie otrzymałem nigdy od *Waszego Poselstwa żadnéj* komunikacyi tyczącéj się Kulczyckiego, i przeto jest całkiem bezzasadném iż *w moc takowéj* został on wydalony z Rzymu.“

Wiadomości potoczne.

— **W przyszłym tygodniu zaczniemy rozsełać I. tom Decretałów.**

— Kiedy przed dwoma laty znakomity pisarz pan Stanisław Tarnowski w *Przeglądzie polskim* czy w *Czasie* wystąpił z obszerną a gruntowną krytyką *Rachunków* Bolesławity, wytykając na każdy niemal stronie, w miejscu prawdy i bezstronności, fałsze, osobiste urazy i niechęci, a tak nicując godło, które Bolesławita na dziełach swoich kładzie, godło: *All ist true*; i myśmy wtenczas mieli ochotę choć maleńki z naszéj strony dołożyć przyczynek do prawdziwości téj firmy Bolesławity: *All ist treu*. Bolesławita bowiem w *Rackunkach* swoich pisał i o *Tygodniku* naszym — pisał i zdanie swoje o nim ferował, nie miawszy go w ręku, ani go nie widziawszy nawet.

Powstrzymaliśmy się jednakże, lękając się „plugawych orężów“ i „kija,“ któremi autor *Rachunków* nie sromał się grozić panu Tarnowskiemu...

Dziś, odkąd p. Kraszewski *Tydzień* wydaje, przyznajemy, że raz po raz nasz *Tygodnik katolicki* przegląda i raz po raz raczy słów kilka o nim powiedzieć.

Niech sąd jego teraz będzie jak najniesprawiedliwszy — byleby tylko nas czytał, — zawsze to lepsze, niż gdy na oślep, na chybił trafił o piśmie jakiém dekreta wydaje.

W num. 25 *Tygodnia* czytamy taką wzmiankę o piśmie naszym:

„Redakcya, któréj znać polemika jak musztardza jest niezbędną do osmaczenia dziennika,... Dziennik pełen życia, choć jak na katolika strasznie zły i kąśliwy, ale w dzienniku to przymiot przecie. Kapłańskiego ducha mało, za to żołnierskiego aż do zbytku.“

Oświadczamy: niestety, polemika dziś jest niezbędną, boć zewsząd namnożyło się nieprzyjaciół i wiary, i Kościoła — nieprzyjaciół nawet uczciwości, sumienia i zdrowego rozsądku. Z temi nam polemika i bój niezbędny, nieubłagany, — dopóki sił nam starczy. Zresztą pan Kraszewski nie o to przymawiaćby powinien, że jest polemika, jéno o to, czy słuszna i sprawiedliwa.

Pisze p. Kraszewski, że *Tygodnik* jak na katolika strasznie zły i kąśliwy. I pan Kraszewski, zdaje się nam, jest przecie jeszcze katolikiem, przynajmniéj o formalnym odstępstie nic nie wiemy, — więcby z tego tytułu i onże sam zbyć się powinien swéj złośliwości i kąśliwości, których tyle od dawna po wszystkich swych pismach składa dowodów. P. Kraszewski zaprzedał swe sumienie nowożytnemu bożyszczu — tak zwanéj opinii publicznéj (mówimy zawsze po prostu i otwarcie, rzeczy po imieniu nazywając), przed tym bałwanem bije czołem — dla niego wszystko poświęcił; stąd jego niechęci, kwasy, sądy niesprawiedliwe, stronniczość i przesada we wszystkiém. Mimo to p. Kraszewski zawsze skarży się na swych przeciwników o cierpkość i zaciętość.

P. Kraszewski pisze, że kapłańskiego ducha w nas mało. W tym punkcie arcykapłanowi drezdeńskiemu nie przyznajemy żadnego zgoła prawa do sądzenia nas. Mamy swojego tu najwyższego Zwierzchnika z łaski Bożéj i Stolicy Apostolskiéj, i do Niego sąd o duchu naszym kapłańskim lub niekapłańskim należy. Ktobądź inny jest sędzią niepowołanym a zuchwałym.

— W numerze 27 *Tygodnia* pisze p. Kraszewski:

Tygodnik katolicki i Soborowy wielką podnosząc wrzawę przeciw naszym listom Soborowym, żywią się kosztem nieprzyjaciela, bo je ogromnemi ustępami przedrukowują. My im się w podobny sposób odwdzięczyć nie możemy.....“

Jakże tu poradzić sobie z przewrotnością? Kiedy niegodziwości p. Kulczyckiego w *Tygodniu* i samegoż p. Kraszewskiego piętnujemy, i uczciwie sobie poczynamy, przytaczając przeciwnika ustępy, by każdy widział, o co chodzi, — p. Kraszewski powiada, że się jego kosztem żywimy. Zaprawdę, jeśli redaktor *Tygodnia* nie zatracił całkiem uczucia sprawiedliwości, wstydzićby się powinien, że zamiat rozprawiać się poważnie i wykazywać nam, czy mamy słuszność, lub nie, złośliwemi zbywa nas konceptami.

Ubi prisca fides?...

— *Dziennik pozn.* powiedział był, że kapłan z prowincyi „deprekacyą“ swoję napisał pod przymusem i naciskiem pewnych sfer poznańskich.

Mimo zawezwania naszego, *Dziennik* dowodu jeszcze nie złożył. Na dowód ten czekamy i czekać jeszcze będziemy.

— W *Czasie* czytamy co następuje:

Przed niedawnym czasem gubernator wołyński Haller zażądał od urzędników katolików, służących na granicznéj komorze w Radziwiłłowie, ażeby ci podpisali deklaracyę, iż zgadzają się spełniać obrządki kościelne w języku moskiewskim — zagrożeni utratą miejsca, podpisali rzeczone pismo. Dziekan, pod którego juryzdykcyą ciż urzędnicy zostawali, zagroził, że ich wykluczy z kościoła, jeżeli będą chcieli spełniać życzenia gubernatora. W skutek tego na dziekana naznaczone śledztwo, gdy urzędnicy tłomaczą się, iż byli do podpisania przymuszeni.

Składka na potrzeby Soboru.

XX.

Z poprzednich spisów	1087 tal.	29 sgr.	7 fen.
Ks. Dopierała z Ruska. . .	4 tal.	15 sgr.	— fen.
Ks. Jarczewski i paraf. Cerekwicka.	10 tal.	— sgr.	— fen.
Ks. dziekan Dalski na kongregacyi dekanalnéj w Obornikach.	17 tal.	13 sgr.	— fen.
Ks. Piotrowski, Ks. Andrzejewicz, Ks. Gdeczyk w Gnieźnie	3 tal.	— sgr.	— fen.
Parafia Noskowska.	1 tal.	15 sgr.	— fen.
Ks. Kośnicki z Dębna . . .	3 tal.	— sgr.	— fen.
Razem	1127 tal.	12 sgr.	7 fen.

Nakładzca i Redaktor ks. Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu. W komisie L. Streisandta w Grodzisku.